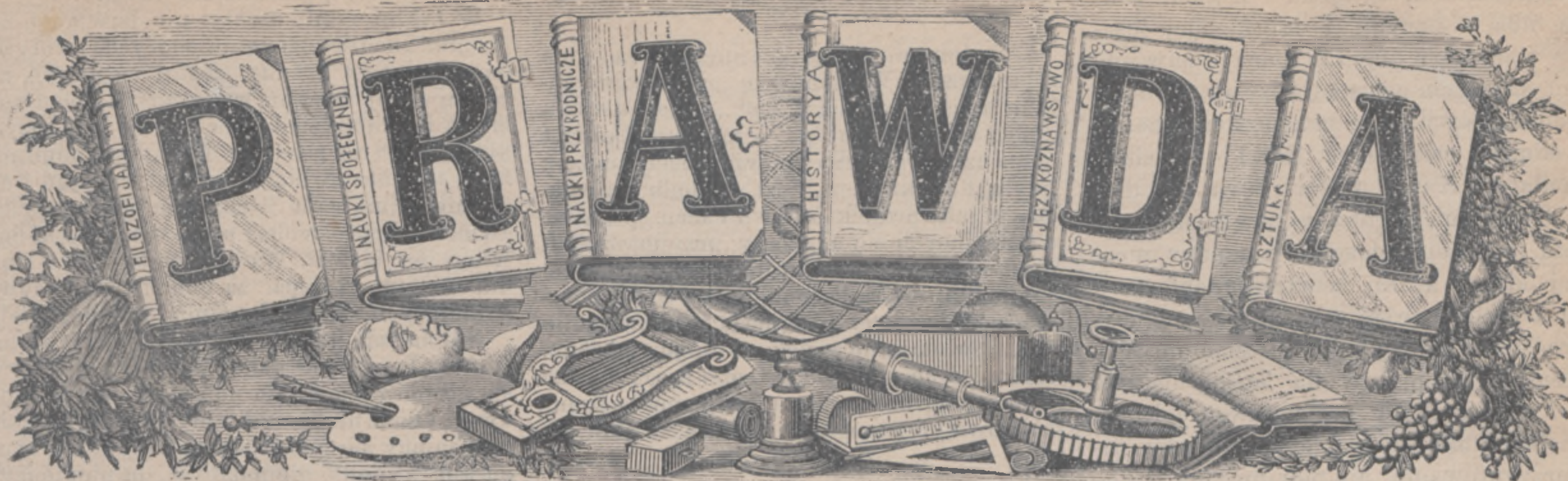
№ 37. Warszawa, dnia 13 (1) Września 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Dnia 8 września o godzinie 10 rano NAJJAŚNIEJSZY PAN razem z NAJJAŚNIEJSZĄ PANIĄ, JEGO CESARSKĄ WYSOKOŚCIĄ WIELKIM KSIĘCIEM NASTĘPCĄ TRONU i Jego cesarską Wysokością W. Księciem Jerzym Aleksandrowiczem, raczyli przybyć szczęśliwie do Warszawy.

Z ICH CESARSKIMI MOŚCIAMI przybyli także do Warszawy Ich Cesarskie Wysokości Wielcy Książęta Włodzimierz Aleksandrowicz i Mikołaj Mikołajewicz Starszy.

Szan. abonentom naszym przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty, którą prosimy przesyłać, o ile można bezpośrednio, do Administracyi **Prawdy**.

POSZUKIWANIE NIEDOBORÓW.

Pod koniec sierpnia i na początku września skrzypią w pewnej części naszej prasy pióra, zajęte ćwiczeniami na temat... egzaminów. Jest to naprzód dogadzanie interesowi chwili, a powtóre odbijanie skarg młodzieży, która w tej porze ma do niej najwięcej powodów. Narzekań, rad, uwag, uznanych za „głębokie," a ślizgających się po wierzchu rzeczy, wysypało się przez kolumny dzienników i tym razem sporo, wszystkie one, wszystkie bez wyjątku, chociaż dobrymi zamiarami natchnięte, ślizgają się po wierzchu rzeczy i nie dotykają jej gruntu. Bywa to prawdą, że nauczyciel stawia zbyt wysokie wymagania, lub naodwrót, bywa prawdą, że uczniowie (lub studenci) się zaniedbują i potem wznoszą swoje gorzkie żale—lecz takie i tym podobne kwestye, wypływające z rozmaitości temperamentów, nastrojów, zapatrywań, nie stanowią podstawy wychowania, którą zawsze trzeba mieć przed oczami, ile razy chcemy kreślić nowe projekty.

Łatwo to dostrzedz, że naczelne zasady urządzeń społecznych przenikają na wskroś życie ogółu i odbijają się nawet w tych jego rozgałęzieniach, które, zdaje się, nie powinny im ulegać. Ktoby np. się spodziewał, że przepisy paszportowe i prawidła krytyczne mają u nas pewien wspólny mianownik? A jednakże tak jest niewątpliwie. Wobec pierwszych daremnie by niezaopatrzony w kartę przejazdową dowodził, że zajmuje urząd, że jest członkiem jakiegoś towarzystwa, uczestnikiem jakiegoś banku, że posiada dyplom uniwersytecki, jeśli nie ma żądanego papieru, musi podledz karze. Podobnie wobec autorów zachowuje się u nas krytyka. Ona zwykle pomija w ich pracach zalety i przedewszystkiem uwydatnia wady. Jeden drobny błąd, jedna niedokładnie zapisana data zajmie recenzenta dłużej i mocniej, niż tysiące dowodów nauki, talentu i pracowitości sądzonego pisarza. Przenieśmy tę zasadę do szkoły, a będziemy mieli typ obecnych egzaminów: usiłują one przedewszystkiem wybadać, czego kandydat *nie umie*. Chociażby on znał całą geografię jak Reclus, jeżeli tylko nie wyliczył odrazu wszystkich półwyspów w Europie, zostaje uznany za nieprzygotowanego w geografii. Ponieważ niema na świecie człowieka, którego nawet w zakresie swej największej siły umysłowej nie miał punktów słabych i ponieważ przy staranniejszem poszukiwaniu odnalezienie tych punktów jest dość łatwem, więc nic dziwnego, że na egzaminach przepadają często uczniowie bardzo dobrze uzdolnieni i że „obcinają" ich nauczyciele żadnym duchem prześladowczym nieożywieni. Zwykle odpowiedzialność zasady przenosimy na jej wykonawców, i dlatego nauczyciele wydają się nam okrutnikami, chociaż takimi wcale nie są. Zagranica — z nielicznymi wyjątkami — przyjęła zasadę całkiem inną: tam egzamin ma przedewszystkiem wykazać, co kandydat *umie*. Jest to żądanie nadzwyczaj rozumne. Bo zastanówmy się nad różnicą: według naszego probierza Darwin, Helmholtz, Pasteur nie byliby uznani za przygotowanych do pierwszej klasy, według zagranicznego zaś (np. niemieckiego) najmniej rozwinięty chłopiec otrzymuje swoje miejsce w szkole. Najznakomitszy uczony może nie znać odmiany jakiegoś słowa, jeśli zaś to słowo, bez względu na inne zasoby wiedzy, rozstrzyga samo o losie człowieka, to niema w świecie takiego wszechstronnego mędrca, któryby odpowiadał wszystkim warunkom gimnazyalnego egzaminu. Odwrócenie zasady dla zbadania, co dziecko (lub nawet człowiek dojrzały) umie, jest nie tylko racyonalnem, ale zgodnem z obowiązkami państwa, opiekującego się wychowaniem publicznem. W sądach każdy otrzymuje sprawiedliwość, czy jest biednym lub ubogim, mądrym lub głupim; jechać szosą i koleją żelazną również każdemu wolno; z całego zaś równouprawnienia obywateli niepodobna wyłączać sfery umysłowej i opatrywać ją przywilejami, chociażby na korzyść... zdolniejszych. Jeżeli pewna ilość ludzi ubożeje, miłosierdzie prywatne lub urzędowe wspomaga ich; dla małoletnich przestępców, skoro którzy wycierpieli karę, istnieją kolonie. Wobec tych i tym podobnych wypadków ani państwo, ani społeczeństwo nie odmawiają swej pomocy upośledzonym moralnie lub materyalnie; ani jedno, ani drugie nie powinno jej odmawiać w kształceniu upośledzonym umysłowo. Przyjąwszy zasadę szkolnictwa zagranicznego, musimy powiedzieć, że egzamin jest rewizyą głowy dziecka dla wskazania mu odpowiedniego miejsca w szkole, nie zaś, jak na-

sza opinia mniema, oddzielaniem kozłów od baranów i odpędzaniem pierwszych a wpuszczaniem drugich. Dopóki państwo dba o oświatę i kieruje jej losami — a zrzec się tego nie może — powinno swem staraniem ogarnąć wszystkich, a nie najzdolniejszych. Jan otrzymał na egzaminie stopnie celujące, a Karol — średnie, czyż dlatego Karol niema prawa kształcić się? Bynajmniej, gdyż to równa się urządzeniu na kolejach tylko wagonów pierwszej klasy, której większość opłacać a więc i jeździć drogą żelazną nie mogłaby. Do rodziców należy jedynie: znać umysłowy *census*, przepisany dla każdej instytucyi, i odpowiednio przygotować dziecko, jeśli chcą z niej korzystać; ale sposoby tego przygotowania nie powinny ich obciążać. Ich syn, niezdatny do klasy czwartej, pójdzie do trzeciej, drugiej, pierwszej, ale nie do żadnej, chociażby mógł wstąpić do czwartej.

W tych dwu właśnie zasadach: w równouprawnieniu wszystkich wobec szkoły i nadaniu egzaminom znaczenia sprawdzeń, co kandydat *umie*, tkwi rdzeń sprawy publicznego wychowania i w nich trzeba szukać rady na związane z nią dolegliwości. Czy tam nauczyciel wymaga skrupulatnie poprawnego pisania lub toleruje błędy, czy slucha gieografii z mapą lub bez mapy — to są kwestye drugorzędne, systemu niezmieniające. Dobra instytucya, w potrzebie napomnienie urzędowe, wreszcie artykuł dziennikarski może złeusunąć; wszakże nie w tem spoczywa istota rzeczy. Główną uwagę musi zwracać to, że mniej uzdolnieni lub przygotowani odchodzą od egzaminu, nie wykazawszy wcale, co umieją, i że ocenieni czysto negatywnie nie znajdują w niej nigdzie i na żadnym stopniu drzwi otwartych. Nauczyciel bowiem nie zna zupełnie ich umysłu, a społeczeństwo nie wskazuje im odpowiedniego miejsca. Wiadomo tylko, jakie punkciki w ich głowie są ciemne, jaki jest ich naukowy niedobór.

Czerwony Krzyż.

O małom nie zaczął, jak się zaczyna jedna z kantyczek: W Genewie „nie bardzo podłem mieście, narodził się“... przed dwoma z górą dziesiątkami lat — projekt. Zamiast „narodził się projekt,“ powiedziećby można: „wylągł się koncept,“ ze względu na sposób, w jaki projekt ów w świecie, przez ludzi, znających się na rzeczy, przyjęty został. Wyrzeczono wyraz „utopia“—i wzruszano ramionami—i krzywiono usta—i nie chciano czasu drogiego poświęcać na rozważanie rzeczy, wskazanej z góry na niepowodzenie. Chodziłoż bo o nie lada co, o rzecz bardzo trudną i ogromnie skomplikowaną—o zneutralizowanie rannych i chorych na polu bitwy.

Ażeby pojąć trudność tego przedsięwzięcia, pomyśleć należy, co to jest—pole bitwy. Pole bitwy nie oznacza tylko pewnej na ziemi przestrzeni, na której dwie armie czynią to, co rymami opowiada Kraszewski o wichrze i chmurze:

„Za lasem, za górą, zeszedł się wiatr z chmurą,
Za łby się porwali, kto kogo powali.“

Pole bitwy jest to rezultat długich, delikatnych, tajemnicami i zabiegami usilnymi otoczonych kombinacyj dyplomatycznych, politycznych i strategicznych, mających na celu zapewnienie zwycięstwa przeciwnikowi jednemu nad drugim. Kombinacye te zcśrodkowywują się w punkcie spotkania dwu armij nieprzyjacielskich i występują w spotęgowaniu i natężeniu. Z tego powodu pole, na którym się odbywają ruchy i obroty kolumn armii jednej i drugiej, jest zakazanem dla człowieka, nienależącego do szeregów tej lub owej. Zakazaną jest każda piędź ziemi! Żadne oko, ani ucho obce zwrócić się nie może w obręb, który armia zajmuje, ażeby nie podpatrzyło, albo nie podsłuchało tajemnicy, tkwiącej w głowie wodza, a podniesionej do znaczenia świętości, za zgwałcenie której kodeksy wojenne wyznaczają karę śmierci. Zwycięstwo, odniesione przez jedną z armij, tajemnicy nie usuwa bynajmniej; bywa ona w razie takim potrzebniejsza nawet, ze względu na możliwość zwrotu zaczepnego ze strony pokonanych. W tym względzie państwa posuwają ostrożność tak daleko, że przestrzegają jej i w czasie pokoju. Nikomu niepowołanemu nie wolno zaglądać po za zasłonę, okrywającą szczegóły, wchodzące w skład siły zbrojnej. Proces lipski, w którym Kraszewski figurował, oznajomił z tem czytającą publiczność naszą.

W takim stanie rzeczy nic dziwnego, że projekt zneutralizowania chorych i rannych na polu bitwy uznany został za utopię, za rodzaj sennych rojeń, wskazanych nieodwołalnie na niepowodzenie wobec tej racyi, której nikt nie rozumie dokładnie, pomimo że ją tłomaczyli ludzie bardzo rozumni i że się nią zajmowała i zajmuje publicystyka świata całego—wobec *racyi stanu*. Cóż bowiem jest bitwa? Nie jest że to racya stanu, argumentująca za pomocą dowodów, trafiających do przekonania najdosadniej?

Nie na tem jednak koniec. Racya stanu stanowiła szkopuł najważniejszy, o który się utopia rozbić była powinna, ale nie jedyny. Obok niego stał inny jeszcze, przedstawiający się pod postacią zapytania: kto na ten projekt niemożliwy da pieniędzy? Nie występował on ani w formie banku, mającego na czele swojem jakiego Langrand-Dumonceaux lub Bontoux, osłoniętego błogosławieństwem papieża, ani też z urokami kopalni, położonej w okolicy przez geografię nieznanej. O żadne tu nie chodziło przedsiębiorstwo, rokujące mniej lub więcej prawdopodobne zyski, bez których, jak utrzymują ludzie bardzo poważni, w naszym zmateryalizowanym i zpozytywniałym wieku nikt palcem nie kiwnie. Rzecz się przedstawiała jako nakład, nietylko procentów nieprzynoszący, ale nawet o zwrocie kapitału myśleć niepozwalający. Pieniądze wyrzucone, na czysto wyrzucone—i na co?—nie na ziemskie, ani na niebieskie rozkosze, nie na kupowanie uciech na tym płaczu padole, ani na skarbienie sobie szczęśliwości wiekuistej tam, gdzie dla chrześcian brzmią chóry cherubinów i serafinów, a na mahometan czekają ognistookie hurysy, ale na niesienie ulgi ludzkości cierpiącej. Cel filantropijny bez celu żadnego innego—coś niby sztuka dla sztuki. Wydawało się, że na cel taki nikt nie da szeląga złamanego.

Stało się inaczej. Utopia zmieniła się w rzeczywistość i zajęła stanowisko w prawie międzynarodowem. Nastąpiło to w sposób, o którym możnaby słowami Szekspira powiedzieć, że „na świecie dzieją się cuda, o których nie śniło się filozofom naszym.“ Dawniejszymi czasy coś podobnego staćby się mogło jedynie na drodze ściśle i wyłącznie gabinetowej, na kongresie tego rodzaju, jak paryski (1856) i berliński (1878), na których przy drzwiach zamniętych pełnomocnicy rządowi porządkowali sprawy

---

Kochanka Preszerna*).

Jesienią roku 1848 przechadzali się dwaj mężczyźni po lewym brzegu Sawy, niedaleko miasteczka Krajna. Chłodne promienie słońca, które zwolna chyliło się ku zachodowi, lamowały złotym rumieńcem olbrzymie kontury dźwigającej się w prawo góry Szmaruskiej. Wijący się w dal wieniec lesistych pagórków, które zwolna obejmowała w sieci swoje lekka mgła, zdał się być również przetkanym błyszczącemi ich nitkami. Cały jednak przepych purpurowych niebios topił się w głębi srebrnych fal, z któremi spływały razem długie, nieskończone pasy, utkane mieniącymi się rubinami. Zmęczone oko szukało odpoczynku i znajdowało go w dosyć jeszcze bujną zielenią okrytych drzewach. Była mu odpoczynkiem i ta wcielona elegia przyrody — żółte liście sadów, otaczających domki miejskie, po nad którymi wznosiła się w górę biała wieża niewielkiego kościółka.

Młodszy mężczyzna, o twarzy bladej, jednak nadzwyczaj wyrazistej, z małemi oczyma, szczególniejszym ogniem z pod długich, czarnych kędziorów błyszczącemi, długo, uporczywie przypatrywał się czarodziejskiemu zachodowi słońca, aż z małych, delikatnych jego ust wydarło się ciężkie westchnienie.

— I co po tej całej krasie! — zawołał, budząc się z zamyślenia. Zniknie ona za chwilę i całe to złociste niebo stanie się monotonnem, szarem. Ot tak, jak mój żywot!... Przyjdzie noc, ta głęboka, długa, wieczna noc...

— Bądź dobrej myśli, Preszernie! — napominał go znacznie starszy towarzysz. Po zachodzie będzie znów ranek, a i dla ciebie nastał już inny, piękniejszy żywot. Wszak dobiłeś się wreszcie stanowiska samodzielnego: jako adwokat i poeta będziesz mógł poświęcić wszystkie swoje siły temu pocziwemu ludowi słoweńskiemu, któremu potrzeba tylko dzielnych wodzów i szkół, aby powstał z obecnego poniżenia i stał się narodem silnym, niezawisłym.

— Po tylu latach, Chrobato!... — uśmiechnął się Preszern melancholicznie, gdym wszystkie pierwsze, najlepsze siły rozbił na skaliskach powszednich zapasów o chleb, o byt. Wszak w Wiedniu dobrze się o to starali, aby sokolęciu połamały się skrzydła!... Iluż to młodszych druhów, bez mojej pilności i bez moich zasług, zdobyło sobie przyzwoite stanowisko, a ja teraz dopiero, gdy już na mojej głowie pojawiać się zaczyna przedwczesna siwizna, owoc nieprzespanych nocy i zawiedzionych nadziei... A!...

— Ale wreszcie dla wszystkich, nietylko dla nas, ale dla wszystkich narodów Austryi nastała wiosna — nowy, swobodny żywot! Konstytucya wzmocni nasze siły, a niegodny syn, któryby ojczyźnie odmawiał pomocnej ręki.

— Może... może... Mnie jednak żywot nauczył wątpić. Nie zażyłem szczęścia prawdziwego, ani jednej radości...

— Ani jednej? A żona twoja w Lublanie, żona przed Bogiem, gdy jeszcze nie w obliczu ludzi, a córeczka twoja, a syn?...

— Matka moich dzieci nie była tą prawdziwą moją miłością... Tu w piersiach jątrzy się inna, głębsza, krwawa rana...

— Julia Primicówna!

*) *Ženy a milenky slovanskych basniku*. Z ruznych pramenu sebral F. Kvapil. VI. *Z memoiru o Prešernovi*. Życie pierwszego pieśniarza słoweńskiego — jak wogóle cały świat południowo-słowiański — znane u nas tak mało, że, zdaje mi się, przysługę oddam czytelnikom *Prawdy* przekładem powyższego obrazka, odsłaniającego nam najrzewniejszą stronę zbolałego serca przedwcześnie zmarłego poety. *Przyp. tłom.*

wschodnie. Na drodze tej rozstrzygano wszystkie kwestye pokrewne, jak np.: określenie istoty „stron wojujących,“ ograniczenie używalności pocisków wydrążonych, oznaczenie istoty „blokady“ itp. Kwestye te mniejszej są wagi, aniżeli zneutralizowanie chorych i rannych na polu bitwy, a to dlatego, że słabiej dotykają racyi stanu, że nie wkraczają w sferę jej tajemnic najdelikatniejszych i że nie wymagają żadnego osobnego, a tak znacznego nakładu. Sprawa ta miała wszystkie te trudności do przełamania i to na drodze dla racyi stanu najwstrętniejszej — na drodze agitacyi publicznej, zebrań, odczytów, wydawnictw. Przebiła się jednak i jest obecnie czynem dokonanym.

Czyn ów przedstawia się tak:

Zawiązuje się, dajmy na to, wojna pomiędzy Francyą a Niemcami. Armia francuska i niemiecka zaopatrzone są w służbę zdrowia, zorganizowaną zawczasu, posiadają lekarzy i chirurgów przy każdym oddziale wojskowym, posiadają ambulanse i apteki, bandaże i instrumenty, wszystko, słowem, co potrzebnem jest do niesienia pomocy żołnierzom, skaleczonym przez oręż palny lub sieczny. Wszystko to wraz z wojskami występuje na teatrze wojny. Doświadczenie jednak wykazało niedostateczność pomocy tego rodzaju i dla uzupełnienia jej, na pole wojny pospiesza stowarzyszenie międzynarodowe, zwane „Stowarzyszeniem czerwonego krzyża,“ albo w skróceniu, „Czerwonym krzyżem,“ osłonięte prawami neutralności zupełnej. Niema tam dla niego przyjaciół, ani nieprzyjaciół. Pod godłem sztandaru białego, zaznaczonego krzyżem czerwonym, wkracza ono na pole bitwy i, gdzie chorągiew jego powiewa, punkt ten służyć nie może za cel dla pocisków. Towarzystwo to nie jest ani francuskiem, ani niemieckiem; w skład onego wchodzą wprawdzie francuzi i niemcy, ale obok nich członkowie narodów wszystkich, które podpisały konwencyę genewską. Na mocy układu tego, Czerwony krzyż sprowadza ambulansy swoje zewsząd, gdzie istnieją: z Włoch, z Hiszpanii, z Anglii, z Rosyi, z Turcyi nawet. Tym sposobem narody wszystkie, w charakterze lekarskim, biorą udział w wojnie, toczącej się pomiędzy Francyą a Anglią. Czerwony krzyż osłania sztandarem swoim ambulanse państw wojujących, osłania szpitale po miastach i fortecach, wchodzi i gospodaruje, niezależnie od komend naczelnych, przenosi się z obozu do obozu, bez względu na tajemnice obrotów i ruchów wojskowych. Zastrzeżonem jest, że do składu towarzystwa, na administratorów, lekarzy i posługaczy, wchodzić powinni ludzie, dający rękojmię dyskrecyi. Czy to rzecz możliwa? Bez względu na to atoli, rzecz dokonaną została: w czasie wojny r. 1870—71 Czerwony krzyż zjawił się po raz pierwszy na teatrze działań wojennych; próba się powiodła, oddała usługi wielkie. Stało się to, co pomiędzy niepodobieństwami wielu wydawało się, jako niepodobieństwo największe.

Jakże to stać się mogło? Nie inaczej, tylko dzięki temu kierunkowi, który nazywa się parciem z dołu. Parcie z dołu przeprowadziło w oczach naszych rzecz niejedną, o której nie śniło się filozofom czasów minionych i na którą nie wszyscy filozofowie czasów obecnych patrzą okiem przychylnem. W dole zaniepokojono się losem ofiar, ginących tysiącami dla braku pomocy regulaminowej. I wytoczono sprawę przed forum publiczne — i załatwiono ją na drodze nieregularnej.

To com napisał powyżej, napisałem z powodu kongresu Czerwonego krzyża, obradującego od dnia 1 września w Genewie.

Czerwony krzyż, jak wiadomo, w Genewie się zawiązał w r. 1863. Sformował się komitet pod przewodnictwem Dufoura i rozpoczął agitacyę publicystyczną. Dzięki tej agitacyi, chociaż ona sama przez się nie posiadała doniosłości wielkiej, pod osłoną komitetu, nieposiadającego powagi dyplomatycznej żadnej, stanęła konwencya, do której zaraz przystąpiło mocarstw kilka, między innemi Francya i Prusy. Przystąpienie to dało przedsięwzięciu podstawę. Odezwano się do publiczności o składki, które popłynęły i dały możność Czerwonemu krzyżowi wystąpić w Paryżu, w r. 1867, na wystawie powszechnej, z ambulansem i pierwszym kongresem. Była to reklama, jak reklamą jeszcze był kongres drugi, który się odbył w Berlinie, r. 1869. W rok później wojna nastręczyła się, jako pole popisu pierwszego; Czerwony krzyż złożył dowody użyteczności swojej i, oznaczony już szewronami chlubnie dokonanej służby publicznej, zgromadził się obecnie po raz trzeci na kongres w Genewie.

Oryginalny wcale widok przedstawiły jego obrady w auli uniwersyteckiej. Uniwersytetowi genewskiemu rzadko chyba, jeżeli nie nigdy, zdarzało się posiadać w murach swoich figur tyle, tak wysoko urzędowych. Na pierwszem posiedzeniu sala jaśniała od mundurów, szytych kołnierzy i dekoracyj. Jeden miał na lewej połowie piersi szereg orderów podwójny, a przytem gwiazdy i ordery na szyi i wstęgę przez ramię. Publiczność z galeryi przypatrywała się mu z ciekawością wielką. Inny znów ustroił się w epolety grube i piastował w rękach kaszkiecik z kitką — był to pełnomocnik rządu serbskiego. Delegatów stawiło się sześćdziesięciu kilku, osobno bowiem wysłały ich rządy, osobno komitety centralne Czerwonego krzyża każdego z państw, co do konwencyi genewskiej przystąpiły. Państw takich jest obecnie trzydzieści sześć, licząc w to Peru, Rzeczpospolitę Argent, Turcyę, Grecyę, i Japonię.

Kongres obraduje pod prezydencyą pana Gustawa Moynier, jednego z pierwotnych założycieli towarzystwa, który był prezydentem rzeczywistym za czasów prezydentury honorowej nieboszczyka Dufoura. Z mowy, którą on obrady zagaił, podniosę jedną tylko myśl. Wykazując przyszłe zadanie Towarzystwa, wyraził się, że polega ono na wykształceniu ludów według tej zasady, na podstawie której stanął Krzyż czerwony. To dobrze! Niech oświata rozwija się w tym kierunku. Życzyć sobie tego należy tem mocniej, że z ideą leczenia zadawanych na polu bitew ran łączy się ściśle idea niezadawania ran. Opinia publiczna, mimo trudności z jakiemi walczyć musiała, urzeczywistniła pierwszą. A druga?... O tej drugiej będę miał sposobność pomówienia za dwa tygodnie, obecnie dodam, że p. G. Moynier, przy końcu mowy swojej powitalnej, wyliczał pozdrowienia przesłane kongresowi i odczytał list jeden. Na czele pozdrowień wymienił cesarzowę rosyjską; list pochodził od cesarzowej Augusty i zawierał przekaz na 5,000 franków, przesłanych na cel, jaki kongres za najstosowniejszy do rozwoju tej międzynarodowej humanitarnej instytucyi uzna.

Wyznać należy, że w czasach naszych postęp się znaczy, mimo pozytywizmu, materyalizmu, upadku wiary i wszelkich innych okropności — i to postęp moralny w rzeczy, która w czasach, kiedy wiara jaśniała w blasku całym, traktowaną była gorzej aniżeli od niechcenia.

T. T. Jeż.

— Tak, Julia Primicówna! Ten demon z obliczem anioła, ta dziewczyna harda, okrutna, a przecież tak ukochana i niezapomniana! Obraz jej nie zatraci się nigdy w moim umyśle. Wrył się tam, jak w granit, którym nawet nie zachwieje żadna burza żywota. Eh, niepotrzebnie przypominam ją sobie!..

— Niema większego bólu, jak w zmartwieniu myśleć o szczęściu!...

— Nieszczęściu chyba! — zawołał poeta z goryczą. Od chwili, gdym ją ujrzał po raz pierwszy, stała się dla mnie źródłem samych utrapień. A przecież, jak słodkie, jak drogie to były chwile! Byłem biednym gimnazistą — wiesz sam przecie, że Vrba, wioska moja rodzinna, ma czarowne wzgórza, rozkoszne doliny i ciemne świeże lasy, ale niedostatek ziemi rodzajnej. To kamieniste spadzisko ledwie że wyżywić mogą pracowitą, skrwawioną dłoń... Chodziła wtedy do szkoły. Ojciec jej dawno już umarł, pozostawił jednak rodzinie bogate dziedzictwo, tak, że Primicowie należeli w Lublanie do najzamożniejszych. Nie to przecież, przysięgam Bogu, było przyczyną, żem na nią wzrok podniósł — wszak była jeszcze zresztą dzieckiem. Niewysłowiony czar, którego sam rozjaśnić nie umiem, pętał mnie do tej dziewczyny. Wszystko zrozumiałem, ale o cały szereg lat później...

— Gdyś się w niej zakochał szalenie — wtrącił przyjaciel.

— Ba! całą duszą i na wieki! Może i nie była tak piękną, jak powiadacie. Mała, ale smukła, włosy miała jasne, świetlane, oczy niebieskie, jak lazurowy ocean, płeć niezwykle miłą, niemal przezroczystą. Jeden rzut oka starczył, aby zapanowała nad twoją duszą... Jakież to było wesołe! Żywa, jak sarna, śmiała się co chwila, a to nasze rozmarzone pieśni kraińskie śpiewała tak rzewnie, że serce w człowieku mimo woli płakało. Była towarzyszką, poufułą nawet, ale tylko w gronie mężczyzn. Wśród kobiet była milczącą, małomówną.

— Miała wtedy lat siedmnaście — prawda? A twój kolega szkolny stał się twoim rywalem.

— Tak, Antoni v. Scheuchenstueln, szlachcic, był dla matki Julii, dumnej patrycyuszki lublańskiej, konkurentem, więcej ode mnie pożądanym. Krzywdzisz go jednak — był to dobry chłopak. Cóż on temu winien, że los wyznaczył mu szczęśliwszą gwiazdę? Ostatecznie w siedm lat dopiero po zaręczynach Julia została jego żoną. Ja nie umiałem pozyskać jej serca...

— Ale swoje serce i swój śpiew jej poświęciłeś! Wtedy właśnie powstała korona twoich poetyckich natchnień, twój *Wieniec baśni*. Imię jej, złożone z pierwszych liter pojedynczych pieśni, sławą jaśnieć będzie w długie pokolenia. Dałeś mu nieśmiertelność, a sobie zostawiłeś tylko żółć i żal gorzki...

— Prac swoich nie cenię. Są to tylko zaczątki czegoś lepszego, co dopiero w przyszłości rozkwitnie może na naszych polach w bogate żniwo. Ale wszystko, co było w moich siłach, dać jej chciałem. Po mojej śmierci znajdzie się jeszcze więcej w papierach — to najlepsze, do czego właśnie przywiązuję wagę.

— Nie mów o śmierci! Nie gań również pieśni twoich! Cała Kraina je śpiewa — rozlegają się one po wszystkich górach i wąwozach. Nie zaprzeczysz przecie, że twój lud pojął ciebie, że cię zupełnie zrozumiał...

— Ale ona mnie nie zrozumiała! Daremnie wyczekiwałem jednego słowa uznania na jej ustach, daremniem wołał do niej: „Pieśń moja jest tylko dla sławy twego imienia! Słodki jej głos zaniesie je do słowiańskich braci na wschód i zachód, sława twoja, złotemi głoskami wyryta na urnie, odczytywaną będzie przez wszystkie narody. Promienieć nie przestanie i wtedy, gdy oboje będziemy już za rzeką Charona.

PANSLAWIZM *)

(według W. Łamanskaho).

I.

Naprzód wysłuchajmy autora:

W ostatnich dwudziestu latach widmem panslawizmu i sporem grecko - bulgarskim starano się zaniepokoić greków i rozluźnić historyczny węzeł, łączący ich z rosyanami. Gwałtowne rozdrażnienie objawiło się w literaturze i prasie, przepełniając je nieraz obelgami i uczuciami nienawiści. Ale sympatye narodowe, wytworzone wiekami, spoczywają głęboko w łonie mas i niezmieniają się za podszeptem dziennikarzy i partyj politycznych, wiecznie chwiejnych i zmiennych.

Kreśląc te słowa, przebiegam myślą z uczuciem wewnętrznej pociechy wspomnienia mego pobytu i podróży po Grecyi w r. 1864, gdzie w rozmaitych miejscowościach Morei doznałem licznych oznak życzliwości, jedynie jako rosyanin. Każdy z rozumnych i sumiennych greków doskonale pojmuje, że rosyanie nie mogą zezwolić na hellenizacyę bulgarów, spokrewnionych z nimi rasowo i religijnie. Nie wynika z tego wszakże, żebyśmy w każdej waśni greków z bulgarami mieli przyjmować stronę ostatnich.

Nadszedł czas, aby oświecone klasy Grecyi, z właściwą im przenikliwością umysłu, zbadały dążenia słowiańskie, zwane panslawizmem. Przekonają się, że wszystko, co ten panslawizm zawiera rozsądnego i praktycznego—jest w znacznej części wynikiem odwiecznego wpływu greków na słowian i wykształcenia, przekazanego im przez kościół i państwo wschodnie, strzeżone wogóle od czasów ostatniego Komnena dość godnie przez greków. Ale od wzięcia Konstantynopola przez łacinników i do zajęcia tego miasta przez turków—grecy okazali się niedołężnymi we wszystkiem tem, co dążyło do utrzymania ich przewagi na chrześciańskim Wschodzie i ocalenia cesarstwa lub federacyi, mającej bronić wolności i niepodległości wschodniego chrześciaństwa przed ciosami świata łacińsko-germańskiego.

Ten panslawizm rozsądny i umiarkowany uwzględnia wszystkie słuszne i szlachetne dążenia narodowości greckiej. Rosyanie, którym go zarzucają, przekonani są nawet, że węzły religijne, społeczne i historyczne zapanują (!) nad rasowymi i że w licznych wypadkach i pod wielu względami interesy i dążenia rumunów i greków, naszych (rosyjskich) współwyznawców, są bliższe sercu Rosyi, niż interesy i dążenia polaków, czechów lub kroatów, tak dumnych i zadowonych wogóle, że służą Zachodowi pod egidą Rzymu.

Mówiąc o tym przedmiocie—aby uniknąć wszelkich nieporozumień — przedstawmy tutaj z całą szczerością istotne różnice, rozdzielające rosyan z polakami, czechami i kroatami, pomimo sympatyi, jaka w nas budzi wspólność rasy.

Ze względu na polaków jesteśmy wogóle szczerymi przyjaciółmi Polski etnograficznej, a stanowczymi nieprzyjaciółmi historycznej, gdyż ta jest prostą negacyą naszej jedności narodowej. Ze względu na Polskę rosyjską, nazywaną przez polaków *Kongresówką*, według naszego skromnego zdania zboczenie od podstaw głównych programu Mikołaja Milutina i zwrócenie się do projektu margr. Wielopolskiego lub do czegoś podobnego byłoby błędem polityki rosyjskiej nie do darowania. Dlatego też nie doradzalibyśmy nigdy rządowi rosyjskiemu zamknięcia w Polsce średniej i wyższej szkoły rosyjskiej i wprowadzenia na nowo języka polskiego do administracyi i sądownictwa. Rosya nie jest Austryą, która składa się prawie cała z kilku różnych Polsk, nie ma żadnej jedności narodowej i gdzie żywioł panujący jest w znacznej mniejszości. Nie pragniemy jednak żadnych ograniczeń przy używaniu języka polskiego w kościołach, teatrach, dziennikarstwie, literaturze, słowem we wszystkich objawach życia społecznego. Przeciwnie, życzymy całem sercem wszelkiej swobody i wszelkiego możliwego powodzenia literaturze i narodowości polskiej. W Polsce z tej strony Wisły ludność pochodzenia rosyjskiego i litewskiego jest zbyt liczna, by obowiązkowe używanie języka polskiego w nauczaniu publicznem, w administracyi i sądownictwie nie było niedorzecznością i widoczną niesprawiedliwością. Polskę po za tą rzeką zamieszkuje tylu żydów i niemców, że byłoby głupstwem ze strony państwa rosyjskiego polonizowanie swym kosztem tych licznych poddanych i rozsadników państwa, niebędących bynajmniej pochodzenia polskiego i mających wszelki interes w zapoznaniu się gruntownem z językiem państwowym.

Z prawdziwą radością widzimy wzrastający dobrobyt ekonomiczny w Polsce rosyjskiej, gdzie dobroczynny wpływ praw organizacyjnych z 1864 r. odnośnie do ludności rolniczej nie da się zaprzeczyć. Takichże samych korzyści życzymy szczerze polakom z po za granicy, gdyby ich nie posiadali. Śledzimy zawsze z życzliwością za postępem literatury polskiej, objawiającym się czy to w Warszawie, Krakowie lub Poznaniu, jak i za odrodzeniem narodowości polskiej na Szląsku. Lecz oświadczamy się stanowczo przeciwko postępowaniu dzisiejszemu polaków w Galicyi wschodniej. To ich postępowanie szczerze nas martwi, gdyż dowodzi, że pozostali oni na nieszczęście tem, czem byli — nie nauczyli się niczego i niczego nie zapomnieli. Obchodzenie się ich z narodowością ruską w Galicyi im samym musi sprowadzić tylko szkody i zgubne następstwa.

Według naszego czysto osobistego i teoretycznego widzenia rzeczy, marzenia połączenia się od Warszawy do Krakowa nie jest zupełnie niepodobnem, gdyby zjednoczenie od Lwowa do Kijowa, nierozerwalnie złączonego z Rosyą, mogło kiedyś się sprawdzić. Wtedy to polacy nasi, oddzieleni od nas granicami i komorami celnemi, mieliby pełne prawo rozwijać swą narodowość i językowi swemu nadać urzędowy charakter we wszelkich sferach. Śmiało jednak możemy twierdzić, że połączenie polaków od Warszawy do Krakowa z ich braćmi z Poznańskiego wydaje nam się niemożliwem, chyba że Prusy zezwoliłyby nań z dobrej woli, co jest mało prawdopodobnem. Nikt z rozsądnych rosyan nie zechce nigdy dozdradzać swej ojczyznie walki z niemcami o Polskę pruską, tak już dziś bardzo zgermanizowaną.

Mówiąc o czechach, nie ulega wątpliwości, że najzupełniej sympatyzujemy z ich wytrwałemi usiłowaniami do wskrzeszenia swej narodowości i rozwijania się dalej. Nie zamilczymy jednak, że w ich narodowej polityce są pewne rysy, których my rosyanie nigdy uznać nie możemy, a w ich projektach przyszłości pewne idee, których urzeczywistnienie wydaje nam się najzupełniej niemożliwem, jakkolwiek dalecą byłaby ta przyszłość. Z przykrością dostrze-

*) Artykuł ten, drukowany w *Revue internationale* we Florencyi (marzec 1884), zapoznać może czytelników polskich z poglądami dzisiejszych panslawistów i objaśnić, jak małą rolę grają w ich planach przyszłości związki szczepowe, w porównaniu z religią i tradycyami państwa byzantyńskiego. Autor jest jednym z głównych przedstawicieli tego kierunku — krytykę jego wywodów zamieścimy na końcu.

Wszystko wie, że cię kocham: noc, która mnie słyszy cierpko wzdychającego, jasny ranek, południe i mrok wieczora — ściany mego mieszkania — spokojna samotność— całe miasto! Wie to róża, rosnąca przy drodze, którą przechodzisz — ptaszę, które wzlata nad nią — próg twego domu — każdy jego kamień i ścieżka, która ku niemu prowadzi — wszystko, wszystko, tylko ty temu nie wierzysz!..." Śmiech był mi odpowiedzią i niezasłużona pogarda!... Ani jedno łaskawe spojrzenie nie dostało mi się w nagrodę, ani jedno „z Bogiem," gdym późno w noc, w przedwieczór ślubu, stał przed jej oknem, bojąc się, że nie zniosę tego, gdy ona zostanie żoną innego...

— Julia była biała, jak śnieg i, jak on, zimna.

— O tak! Serce jej było z kamienia. Gorszyła się, żem śmiał ją opiewać!... Możesz być los poety więcej bolesnym? Toć nie żądałem już dla siebie niczego zgoła — zrzekłem się wszelkiej radości, a modliłem się o jej szczęście tylko. A przecież, gdym jej najlepszej przyjaciółce, niegodnie opuszczonej przez kochanka, posłał wiersz, wyrażający żal i współczucie...

— Julia wzięła to za list do siebie i... za obrazę!

— Tem też podkopała moją wiarę w jej szlachetne uczucia. Ja także byłem dumny — jestem dumny. Wtedy to napisałem:

„Błagali Cię, byś czasem o nich wspominała...
Jam nie prosił, bom dumny—wstrętna mi jałmużna!
I patrz! Gdzieś Ci z pamięci wyszła zgraja cała,
A mnie wypędzić z myśli — praca Twoja próżna!..."

— I poświęciłeś się swemu zawodowi.

— Wiesz sam, doktorze, z jakiem powodzeniem. Waliły mi się na drogę przeszkoda za przeszkodą. Zaledwie teraz dopiero, z duszą chorą i zestarzałą, będę sobie mógł urządzić własne domowe ognisko — a i za to tobie, mój przyjacielu, mam dziękować!

— Sobie, sobie przedewszystkiem! Tylko z nowym zapałem zabierz się do pracy, a szczęście cię nie minie — nie śmie minąć!

— Zapóźno, miły Chrobato! Los nauczył mnie nie zapominać...

— A jednak o tej, która ci ofiarowała wszystko, nie wspominasz ani słowem!

— Jej dziękuję za tych kilka przyjemniejszych chwil w całem mojem życiu. Wkrótce, wkrótce już sprowadzę ją do siebie z Lublany i drogim mojim dziecinom dam ojca. Ale... słońce już zeszło. Chodź prędzej, wiesz dobrze, że chłód wieczorny nie bardzo dobrze oddziaływa na moją chorobę...

Szli ścieżką, ręka w rękę, nie mówiąc ani słowa. Lud, który wracał z pola do miasta, piękny, smukły, jak rzadko między słoweńcami, pozdrawiał ich zdaleka. Nad Szmaruską górę wynurzył się złoty sierp księżyca, rzucając na cichnącą dolinę osobliwsze magiczne światło. Szli pomiędzy szerokimi sadami, które ciskały im pod nogi zwiędłe liście — także obraz zmarnowanego żywota... Gałęzie olbrzymich jabłoni okryły wreszcie zupełnie cieniem ich postaci. Dwaj przyjaciele zniknęli w cichych uliczkach śpiącego miasta.

* *

*

Preszern nie doczekał się spełnienia ani tej ostatniej ze swoich iluzyj. Umarł już 8 lutego roku następnego, wpierw, zanim zdołał i przed światem uczynić zadość powinnościom męża i ojca. Pozostałe zaś po nim utwory poetyczne — „te najlepsze"— kazał dziekan Dagarin, który je dostał w ręce, wrzucić do ognia...

Tłom. *Rlt.*

gamy wzrastający wpływ najskrajniejszego ultramontanizmu śród starych czechów. Oddala on Czechy coraz bardziej od świata słowiańskiego i pcha w błotnisty nurt, który o mało nie pochłonął ich w r. 1620 i skąd zaczęły szczęśliwie wydobywać się za Józefa II, dzięki ożywczemu tchnieniu wolności i szlachetnym uczuciom najlepszych swych dzieci. Nie mamy odrazy do partyi narodowej czeskiej, ale wydaje nam się, że tak staro-, jak i młodoczesi zbyt wiele powołują się na prawa historyczne królestwa czeskiego. To odwoływanie się do praw historycznych jest, według nas, mieczem obosiecznym, gdyż tego rodzaju wspomnienia historyczne przedstawiają Czechy jako część nierozdzielną cesarstwa niemieckiego. Przeciwnie zaś, oparłszy się silnie na prawie narodowości, jeśli czesi będą sprawiedliwie postępowali względem Czech południowych, zniemczonych, jak trzeba przyznać, bezpowrotnie — zdobędą wobec świata prawo do szacunku i uczynienia słowiańskim reszty swego kraju. Możnaż naprawdę przypuścić, że milion, a nawet więcej niemców z Czech, graniczących z potężnem państwem, dasię chociaż na chwilę omamić marą Królestwa, wywołaną uczuciami patryotycznemi, nieco już przestarzałemi?

Co do do kroatów, posiadają oni całą naszą przyjaźń i szacunek tak w walkach za swą narodowość z żywiołem madziarskim, niemieckim i włoskim, w Węgrzech, Kroacyi, Austryi i Dalmacyi — jak i za ich pracowitą działalność literacką i naukową, rozwiniętą w Zagrzebiu, głównie w ostatnich dwudziestu latach. Cywilizacya i nauka słowiańska wogóle zachowają im głęboką wdzięczność. Martwią nas jednak ich stosunki z serbami w Kroacyi, Dalmacyi, Bośni i Hercogowinie. Patryoci kroaccy, uniesieni marzeniami i ambicyą powiększenia dziedzictwa urojonej korony Zwonimira, popierają na nieszczęście nieprawe i bezowocne usiłowania, by oderwać dzielną ludność serbską Bośni i Hercogowiny od jej dawnego kościoła i związków narodowych. Tym sposobem stają się narzędziem nieprzyjaciół swej własnej rasy i przyszłości narodowej.

Wogóle ten austryacki panslawizm, zamyślający według nieszczęsnego aforyzmu Fr. Palacky'ego, uczynić z Austryi mniemaną tamę przeciwko Niemcom z jednej a Rosyi z drugiej strony —jest wytworem sztucznym, nieorganicznym, niemającym racyi bytu, ani przyszłości. Staje się on wszakże potężną bronią w ręku Rzymu i Habsburgów zwłaszcza zręcznie użyty i w porę. Pielęgnują go, gdy nie zawadza, odrzucają, gdy niepotrzebny, a przy sposobności przeciwstawiają Rosyi i Niemcom. Słuszność każe przyznać, że ze wszystkich słowian austrackich, tylko polacy z Galicyi, a nie ze Szląska i to nie lud, ale klasy panujące, szlachta i duchowieństwo, dwa te żywioły byłyby prawie zawsze gotowe do wyprawy na Rosyę, pod sztandarem papieskim i habsburgskim. Ale miliony czechów, słowaków, kroatów, nie mówiąc o innych słowianach austro-węgierskich, nie czują antypatyi, ani nienawiści do Rosyi, a tem bardziej nie życzą sobie jawnej i zapamiętałej wojny swego państwa niemieckiego z rosyjskiem. Przeciwnie z całą naiwnością chcieliby pogodzić słowiańskie swe uczucia z wiernością dla ich *Gesammtvaterlandu*, a ich dzienniki i poufne rozmowy wskazują, iż zamyślają o przymierzu czynnem Austro-Węgier z Rosyą z jednej strony i Francyą z drugiej. Polacy z całą surowością potępiają zwykle u swych pobratymców tę przychylność dla „Moskwy,“ ale nie przestając wykrzykiwać i gorączkować się na „moskali,“ zdaje się, że pogłębszej rozwadze, byliby gotowi wyrzec się usiłowań ku urzeczywistnieniu, z pomocą Austro-Węgier, swej *idee fixe*. Pojąć to łatwo. Ludność rolnicza Galicyi Wschodniej zna położenie chłopów polskich w Polsce rosyjskiej i nie uczuwa najmniejszej niechęci do moskali. Nie entuzyazmuje się bynajmniej za przykładem klas oświeconych ani do konstytucyi 3 maja, ani do złotego wieku Zygmuntów, ani do dawnych granic, idących od morza do morza.

Obojętność jej na te magiczne frazesy niema prawdopodobnie wielkiego znaczenia w oczach sfer inteligentnych, ale musi być dla nich ważnem, że podczas kampanii krymskiej, niedługo po pokoju w Villafranca (w 1862—1863 r.), wtedy, gdy we Francyi panował Ludwik Napoleon, Austrya powzięła zamiar oderwania Królestwa Polskiego od Rosyi. Dziś ani Francya, ani nawet Włochy i Hiszpania, ci nowi sprzymierzeńcy Austryi, nie mogą na nic jej się przydać w tej sprawie. Niema co także liczyć na swych głównych przyjaciół i sprzymierzeńców Niemców, bo już w 1854 p. Bismark, ówczesny ambasador pruski we Frankfurcie, sądził, że jeżeli Polska ma być oderwana od Rosyi, najwłaściwiej będzie przyłączyć ją po prostu do Prus. Od czasu zaś gdy został księciem i kanclerzem państwa niemieckiego, można powątpiewać, by dobro Austryi lub polaków zajmowało go bardziej. Niezbyt dawno stary przeciwnik jedności niemieckiej pod jej obecną formą p. Konstantyn Frantz, ogłosił swój ulubiony pomysł, zasadzający się na łatwym i niekosztownym sposobie zmniejszenia trochę Rosyi, dołączając Warszawę i Wilno do Prus a Kijów do Austryi. Zacny publicysta spodziewa się nawet, że jeszcze przed śmiercią ujrzy urzeczywistnienie swego zachwycającego projektu.

Podobne kombinacye o przyszłości Polski nie uwiodą nawet polaków z Galicyi, a przyczynić się tylko mogą do zbliżenia ich z innymi słowianami austryackimi, którzy ani na chwilę nie chcą słyszeć o zerwaniu z Rosyą.

Ten austryacki panslawizm jeszcze potężniejszem narzędziem staje się w ręku Wiednia i Rzymu przeciw protestanckim niemcom, bo trzeba przyznać, że jeśli co jest zdolnem połączyć to wielkie zbiorowisko drobnych narodowości słowiańskich austro-węgierskich i popchnąć je do zgodnego działania, to tylko odwieczna nienawiść ku Niemcom. Wiadomem jest, że i inne ludy państwa habsburskiego wraz z niemcami katolickimi nie sprzyjają także protestanckim z północy, chociaż może niechęć ich jest mniejszą niż słowian. Przytem liczna ludność katolicka państwa protestanckiego, kierowana przez stronnictwa dobrze zorganizowane, jak centrum; złączona jest niewidzialnymi, lecz nie mniej silnymi węzłami z Innsbruckiem i Rzymem, a skłania się bardziej ku Wiedniowi niż Berlinowi. Nie samo jednak to stronnictwo wzdycha za systemem poprzedzającym 1866 r.: z niem łączą się szczątki dawnych federalistów, zwolennicy małych i średnich państewek, i wogóle stara partya wielkich Niemiec. Stronnictwa republikańskie i socyalistyczne ciążą ku republikańskiej Francyi — umiarkowanej lub rewolucyjnej. Nie sprzyjają bezwątpienia Rzymowi, ani Habsburgom, ale jako żywioły antimonarchiczne i rozkładowe mogą być z łatwością wciągnięte w rozległy, katolicki związek gwelfów, przeciw gibelinom tegoczesnym. Stronnictwo gwelfów w ostatnich czasach doznało wszędzie dotkliwych niepowodzeń, z powodu upadku cesarstwa francuskiego, połączenia się Włoch ze stolicą w Rzymie i powstania państwa protestanckiego. Ultramontanizm włoski, hiszpański jak i niemiecki nie pogardziłby zgodą ze stronnictwem republikańskiem i socyalistycznem, ażeby wspólnemi siłami zadać cios systemowi gibelinów, zwycięskiemu dziś w tych trzech krajach. To wszystko, co w Europie marzy o odwecie i o przywróceniu równowagi, zachwianej przez traktat pragski i frankfurcki, śledzi z niecierpliwością i z upragnieniem oczekuje utrwalenia się tego wielkiego, tajnego związku gwelfów. Ale potężna organizacya wojskowa Niemiec, ich niezliczone zaczepne i odporne środki, olbrzymia działalność genialnego męża, trzymającego ster rządu, zmuszają ów związek do miarkowania i odwlekania napaści, uknutych przeciwko wskrzeszonemu państwu Hohenstanfów.

Takim jest antagonizm, rozdzielający przeważną część Europy lub też kraje romano-germańskie starożytnego świata. Nienawiść wzajemna jest tak wielką, zasady i interesy tak sprzeczne, że niepodobna myśleć o pogodzeniu i pokoju między dwoma nieprzyjacielskimi obozami, bez poprzedniego starcia i stanowczego pokonania jednego z przeciwników.

(D. n.).

Z GALICYI.

Lwów, 5 września.

Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.—Meetyng socyalistyczny.—Sejm.—Postępowanie rządu.—Dziwolągi ustawodawcze. — Niezła zabawka.—Dwojakie gwichty dla sumień *eisenbahncavallierskich* —Zdanie Smolki. — Zadanie sejmu tegoroczne.—Uchwała o koloniach rolnych poprawczych.—Wniosek *Narodnich listów*, czyli: wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę. — *Hej, hej, „Lipa slovanska“ kde a te slavné cztyrzicaté leta?..*—Rusini czy rosyanie —Zawiedzione nadzieje.—Z teatru i z własnej chaty.

Spodziewam się w niedługim czasie zwołania meetyngu, który się oświadczy za przyłączeniem Alzacyi i Lotaryngii do Francyi. Urządzi go ks. Bismark... Nie śmiejcie się— podobne rzeczy dzieją się i u nas. Kapitan Koestlich i obywatel Spitzer, preclarz uliczny, zwołali zeszłej niedzieli zgromadzenie celem zawiązania towarzystwa robotników i sług. Chodziło o to, aby członkom stowarzyszenia dostarczać pracy, wspomagać ich w razie choroby, dawać wdowom i sierotom pensye, budować wreszcie własne domy. Oczywista rzecz—tylko przyklasnąć projektowi. Cóż jednak powiecie na to, że projektodawcy nie klaskali wcale; owszem, przeklinali chwilę, w której przyszło im na myśl zwoływać zgromadzenie. I nie w tem dziwnego! Kto zna pana kapitana i obywatela Spitzera—któżby ich nie znał!— ten wie, że żaden z nich nie podziela, zgubnych, jak powiadają, teoryj wuja Blanca albo ojca Lassalle'a. Tymczasem, cóż się dzieje? Zaledwie p. Spitzer zagaił zebranie, aliści większość zgromadzonych spostrzega z zadowoleniem, że się znajdują „między sobą,“ to znaczy, że są wszyscy socyalistami. Wybierają też na przewodniczącego znanego socyała, p. Mańkowskiego, zecera z drukarni *Gazety narodowej*. Nie potrzebuję dodawać, że poszło teraz wszystko, jak po maśle — w kierunku socyalistycznym. Mówcy, którzy w niedzielę głos zabierali, a głównie pp. Kołczak i Mańkowski, drukarze, szewc Drabik, tudzież p. Daszyński, korespondent jednego z tygodników warszawskich, z zawodu technik (dwaj ostatni niedawna z więzienia za agitacye wypuszczeni)—wszyscy, jednem słowem, przemawiali w duchu socyalistycznym, żaląc się na nędzę, wyzyskiwanie i złe traktowanie robotników przez pracodawców. Nadaremnie komisarz policyi wzywał kilkakrotnie zgromadzonych, aby wyłączyli z dyskusyi politykę—za każdym razem spotykała go stereotypowa niemal odpowiedź przewodniczącego, że „nędza i wyzyskiwanie, to nie polityka, ale sprawy czysto ekonomiczne, o politykę zaś robotnicy nie troszczą się wcale, pozostawiając ją tym, co mają na nią czas i pieniądze.“ Stróż porządku dał wreszcie za wygraną, a zebranie, któremu statut stowarzyszenia, ułożony przez pp.

Kocstlicha i Spitzera, było ostatecznie obcym, wybrało komisyę, mającą zredagować nowy. Weszło w jej skład 8 rękodzielników i 8 najemników dziennych. W końcu przypomniał p. Kolczak, że właśnie w tym dniu przypada rocznica śmierci Lassalle'a. Z kilkuset piersi wydarł się na to okrzyk: „sława," poczem w największym porządku rozeszli się zgromadzeni do domów, aby w najkrótszym czasie zebrać się ponownie dla przedstawienia i uchwalenia statutu, który bezwątpienia uzyska potwierdzenie namiestnictwa.

Inne znów zgromadzenie, w gmachu znacznie okazalszym, niż podniebie ogrodu Prochaski, zagajone zostało okrzykiem na cześć cesarza d. 2 b. m. Wpierw jednak zawezwano na pomoc ducha św. w dwóch obrządkach. Juściż nie o kim innym mówię, tylko o poczciwym naszym parlamencie, o tym Wysokim sejmie, którego stanowisko w Przedlitawii musi jednak być bardzo niskie, skoro inna Wysokość—rząd wiedeński—traktuje go... ot, tak sobie, w każdym razie rozmaicie... Bywały czasy, że nas Wiedeń respektował trochę, odpowiadał na pisma i usprawiedliwiał się nawet, gdy czegoś zrobić nie mógł, albo nie chciał. Ale było to za rotmanów centralistycznych, dzisiaj zaś, gdy ster dzierży autonomista hr. Taaffe, a wiosłują dwaj polacy, uważa się to wszystko za rzeczy zbędne. Nietylko, że jedna uchwała za drugą nie otrzymuje sankcyi bez najmniejszego czasami albo dla bardzo błahego powodu, ale, co gorsza, na rezolucye swoje niektóre sejm żadnej nie otrzymuje odpowiedzi—jakby ich zgoła nie było!

Odmawiając zatwierdzenia, rząd miewa czasami racyę. Oto przykład. Wspominałem już w zeszłym liście od odrzuceniu noweli szkolnej, mającej zaradzić gwałtownemu brakowi szkół ludowych, których 2300 gmin w kraju naszym nie posiada jeszcze wcale. Nie myślę po raz wtóry zapuszczać się w krytykę nowej ustawy—oceniłem ją w swoim czasie, wykazując niedostatki — chcę tylko powiedzieć parę słów o obecnym jej losie. Pisząc list poprzedni, opierałem się na informacyi jednego z posłów — dziś mam już pod ręką sprawozdanie Wydziału krajowego, z którego dowiaduję się również, czem ministeryum umotywowało odrzucenie uchwały sejmowej. Przyznać trzeba, że motywy są wcale przyzwoite i słuszne. Z mnóstwa innych racżcie posłuchać chociaż jednego, z tego bodaj względu, że to rzecz dosyć wesoła. „Najgłówniejszym brakiem tego projektu — powiada ministeryum—jest okoliczność, że *nie uwzględnia on wcale obowiązujących obecnie ustaw szkolnych* i zamierza wprowadzić nową organizacyę, *nie zmieniając jednocześnie w odpowiedni sposób dawniejszej*. Jest to krok, który koniecznie pociągnąłby za sobą *rozliczne wątpliwości i zawikłania*, co byłoby oczywistą zaporą dla dalszego prawidłowego rozwoju szkolnictwa ludowego w kraju,"

Nie prawda, że to wesołe? Sejm radzi, radzi, uchwala wreszcie prawo, "nie zmieniając równocześnie w odpowiedni sposób ustaw dawniejszych"—nie dziwmyż się potem, gdy na każdym kroku spotykać nas będą "rozliczne wątpliwości i zawikłania.." W orzeczeniu tem ministerstwa jest jeszcze motywów odmowy cały szereg, wskazujący chyba na to, że sejm nasz jest niedouczonym literatem, któremu minister-redaktor w każdym niemal wierszu poprawki czynić musi. Doprawdy, ta zabawka sejmu byłaby wcale ucieszna, nietylko dla posłów, ale i dla nas, gdybyśmy jej nie potrzebowali tak drogo opłacać!

Skład sejmu nie uległ prawie żadnej zmianie. Przybyło tylko dwóch nowych posłów, zbyt sławnych, abym o nich nie wspomniał. Mówię o Kamińskim i Kozłowskim. Pierwszy na zeszłorocznej sesyi nie pokazał się wcale, tego roku zaś chyba po to, aby wrócić czemprędzej do domu. Mandat jego bowiem unieważniono dla rzekomych nieprawidłowości przy wyborze, w rzeczywistości zaś z powodu znanej wam sprawy kolejowej. Wybór dr. Kamińskiego ponowny nie ulega jednak podobno wątpliwości — taki mir ma w Stanisławowie ten człowiek o zacnej zresztą przeszłości. Przysłowiowa podwójna miara znalazła i tym razem zastosowanie. Wybór p. Kozłowskiego, także *eisenbahnrittera*, mimo silnej opozycyi znacznej części posłów, uznany został za ważny głosami stańczyków i połowy mniej więcej środka. Słusznie też zauważał na to jeden z weteranów naszych parlamentarnych: „Kiełbiki zgniatamy walecznie, podczas gdy grube szczupaki hulają!..."

Z ważniejszych spraw, które wejdą w tym roku na porządek dzienny, wymieniam następujące: zapomoga dla powodzian, nieszczęsna regulacya rzek, melioracye gruntów, fatalna nowela szkolna, która musi być przedyskutowaną na nowo (ze względu na odrzucenie) i znacznie obszernej (ze względu na uchwały Zjazdu pedagogicznego w Tarnowie), wreszcie budżet na rok 1885. Obradować będzie sejm prawdopodobnie aż do 25 października, czasu więc będzie miał tym razem dosyć, byle go tylko wyzyskać umiał należycie. Z tego, co dotychczas poruszono, zasługuje na podniesienie jednomyślnie przyjęty projekt Merunowicza zaprowadzenia osad rolnych karno poprawczych. Powody, wyliczone przez wnioskodawcę, są tak poważnej natury, że wątpię, aby im nawet w Wiedniu odmówiono racyi. Bo naprzód posiadamy kryminalistów zwiększający się co roku zastęp tak pokaźny, że niewiedzieć, doprawdy, co już z nimi czynić i gdzie ich podziewać. Zrobić tak, jak z prostytucyą dla jej pięknych oczu postąpiono w swoim czasie, koncesyonować — niepodobna, puścić złodziei na wolną stopę — trudno, dawać jeść — szkoda. Nie pozostaje nic lepszego do zrobienia, jak rabusiom i rzezimieszkom kazać... pracować. Dwa względy przemawiają za tem. Najpierw — bądź co bądź — praca uszlachatnia człowieka i kara osiągnie wtedy swój cel etyczny, a powtóre koszta utrzymania więźniów zmniejszą się znacznie. Ponieważ zaś w naszym kraju 70% zbrodniarzy należy do stanu rolniczego, system zaś poprawczy stosować się winien do zajęcia ludności, przeto byłoby wcale pożądanem, aby w nowym kodeksie karnym rząd uwzględnił żądanie sejmu i umieścił odpowiednie przepisy o osadach rolnych. Sejm nasz domaga się, aby tymczasem założoną została przynajmniej jedna taka osada dla nieletnich w Galicyi. Wszak system ten poprawczy stosowanym jest skutecznie w Irlandyi, Francyi i Polsce, podczas gdy u nas liczba recydywistów wynosi 50%, co dowodzi, że dotychczasową metodą karną nie osiągamy celu.

Tak to bywa z metodami i celami w innych także rzeczach. Nie mogę np. zrozumieć korzyści systemu młodoczechów i ich organu w postępowaniu z nami. Jest ten system w każdym razie niejednolity i zmienny, podobnie jak i wolnomyślność *Narodnich listów*, która trąci nieraz nie na żarty — że się tak wyrażę czysto po polsku—błogonadzieinością... Zarzutu tego nie uogólniam — owszem, sprowadzam go do poszczególnych wypadków. Wypadki te bywają przecież charakterystyczne. Bo, proszę państwa, jak to czasami można wlość na gruszkę, po to jedynie, aby narwać pietruszki... Donosząc o układzie, zawartym między Rosyą i Austryą w sprawie bezpośredniego porozumiewania się sądów w Królestwie i Galicyi, *Nar. listy* konkludują tak: „Owóż teraz wymaganą być musi koniecznie od wszystkich urzędników sądowych, adwokatów i notaryuszów w Galicyi znajomość języka rosyjskiego. Dziwne to, zaiste, zrządzenie Boże! Mowa rosyjska jest pierwszą ze wszystkich słowiańskich, która sobie wywalczyła takie prawo w Austryi, i to w chwili, gdy rosyanie halicey niemal zupełnie usunięci zostali z życia publicznego!..."

Pozwólcież teraz, albo raczej... wybaczcie! Dawno już, bardzo dawno, nie pisałem nic o teatrze, ani o koncertach, co nam przecież zajmuje tutaj z połowę życia. No, mnie nie — przynajmniej nie teraz. Od miesiąca przykuty do łóżka, zamiast widowisk scenicznych miewam chyba tylko widzenia chorobliwe, podczas gdy serce wypukuje przedziwne koncerty... Tak to poczciwy mój organizm stara mi się wynagrodzić brak obecnie wszelkich wrażeń artystycznych, których zresztą teatr, bawiący tu parę dopiero tygodni, nie nastręczyłby zbyt wiele. Z nowości mam do zanotowania tylko *Właściciela Kuźnic*, ale tego znacie.

Rewera.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Ladomir Prószyński **Kilka słów o charakterze dziejowym słowian i ich posłannictwie**. Warszawa.

Zanim przystąpię do przedstawienia odkryć socyologicznych, opisanych w wymienionem dziele, muszę zapoznać czytelników z autorem, aby mogli zdać sobie należycie sprawę, jaką wagę przywiązywać należy do wywodów i jak wielką doniosłość posiadają ogłoszone prawdy. Ponieważ p. P. osobiście nie znam i o ideałach jego wiem tyle tylko z pobieżnej wzmianki, że jest wyznawcą teoryi zaludnienia piasków dna wiślanego przez masowe przesiedlenie tam żydów, muszę się więc ograniczyć do tych wskazówek, jakie znalazłem w jego pracy. Dowiadujemy się więc, że autor jest uczonym, co:

Str. 1, badał bezstronnie dzieje różnych ludów,

str. 2, głębiej i bezstronnie oceniał materyały ogólnego dziejoznawstwa, uwzględniając przytem najnowsze odkrycia, poczynione na polach różnych nauk, zajmujących się rozpoznaniem zabytków starożytności i wykopalisk,

str. 12, ogarnął dzieje ludów słowiańskich w całej ich objętości i zestawił je z dziejami innych narodów,

str. 12, zdobył podstawy do stanowczych orzeczeń o przedmiocie tak poważnym (owe posłannictwo słowian) i mało jeszcze uprawianym,

str. 20, zbadał tajniki posłannictwa rasy semickiej,

str. 32, zastanawiał się nad rozwojem cywilizacyjnym ludzkości,

str. 32, badał treść aspiracyi różnych narodów w różnych dobach dziejowych,

str. 33, zwrócił baczną uwagę na charakter różnych ras i rolę, jaką odegrały one w dziejach ludzkości,

str. 35, badał ogólne dzieje słowian w różnych epokach ich rozwoju,

str. 42, badał głębiej charakter słowian,

str. 45, bacznie rozejrzał się w dziejach ogólnych i w historyi narodu żydowskiego i w następstwach, wynikających z zetknięcia się świata chrześciańskiego z rozproszonym w łonie jego żydostwem,

str. 59, ogarnął dzisiejszy stan narodów słowiańskich w Europie, wniknął w poważniejsze szczegóły ich bytu, stosunki zewnętrzne z pobratymcami swymi i obcemi społeczeństwami, jak również ocenił warunki ich otoczenia, rozwoju wewnętrznego życia i domniemaną bliższą przyszłość tych ludów,

str. 61, zna przeszłość słowian i prawdziwe powody, które doprowadziły ich do dzi-

siejszego, tak smutnego położenia i wie dokładnie, co może polepszyć to położenie i zapewnić pomyślną przyszłość,

str. 63, głębiej zbadał cechy zasadnicze charakteru i działalności żydów i niemców,

str. 64, oddawał się gorliwie badaniu słowiańskiej przeszłości, poznaniu pobratymców szczepowych, zgłębieniu potrzeb ducha (naturalnie słowiańskiego) i wrodzonych popędów,

str. 69, poznał dokładnie wszystkie błędy i grzechy przeszłości, społeczne i polityczne,

str. 69, zrozumiał gruntownie przebieg dziejowych wypadków i wzajemnego stanowiska rozgałęzień słowiańskich,

str. 73, zna wyniki *bezwzględnych* (ach!) badań historyczno-społecznych,

str. 73, bezstronnie ocenił dziejowe stanowisko niemców i słowian.

Przepraszam za przydługą i nudną cytatę, ale musiałem przecie wydobyć i zestawić rozrzucone aż na 76 stronicach zapewnienia autora o swoich przymiotach. Czytelnik może teraz ocenić, jaka to głowa wzięła się nareszcie do wyświetlenia posłannictwa i powołania wybranej rasy słowiańskiej, a zapominać przytem nie należy, iż skromność p. Prószyńskiego nie pozwoliła mu zapewne na rozgłaszanie o wszystkich skarbach wiedzy i talentu. A że cnotę skromności posiada, ani wątpić można, gdyż jako słowianin obdarowany jest przez naturę tysiącami zalet.

Trzymając się logicznego porządku w streszczaniu teoryj i odkryć autora, zacząć należy od kosmogonii, ale do tej kategoryi zaliczyć się daje jedno tylko twierdzenie, a mianowicie, iż „kardynalną zasadą praw natury" jest: „wszystko ma swój początek i koniec." Nie wiele, ale dobrze.

Ogólno-socyologiczne poglądy są rozwinięte szeroko na licznych kartach dzieła, mam jednak nadzieję, że dla zrozumienia stanowiska autora wystarczy próbka ze str. 32:

„Jeżeli duch opiekuńczy ludzkości (Opatrzność) wskazuje jej wciąż jeden i ten sam cel—dążenie do uszlachetnienia i uszczęśliwienia człowieka, czyli do wyniesienia go ile można po nad materyę (mowa zapewne o rozwoju aeronautyki) i rozszerzenia panowania jego nad otaczającymi go żywiołami—to widzimy przecie, jak daleko odbiega niekiedy geniusz ludzki od drogi prowadzącej do wskazanego celu."

„Raz wzbija się on po nad sfery naszego widnokręgu, pragnąc bezskutecznie tam się utwierdzić, to znów znużony nadludzkiem wysileniem spada na ziemię i tonie w jej otchłaniach (epoka rozwoju górnictwa), a *oprzytomniony* duszącymi *wyziewami materyi* (prawdopodobnie plaga wrzodów, zesłana przez Mojżesza, dała autorowi poznać tak doniosłą rolę materyi w dziejach), zrywa się napowrót do nowego polotu, szukając wciąż i zwykle napróżno normalnego horyzontu."

Przechodząc do charakterystyki słowian, wyrzec się należy powtórzenia wszystkich ładnych rzeczy, które autor wygłasza. Proszę mi jednak zawierzyć na słowo, że p. P. nie zapomniał ani o jednym przymiocie (tylko naturalnie mowa o przymiotach istotnych, *zdrowych*). Do jakiego stopnia autor jest bezstronnym, dowodzi to, iż obawiając się, aby go miłość nie zaślepiła, on, słowianin, wychowany śród słowian, powołuje się na świadectwa rzymian, greków, niemców. Zostaje też za to odpowiednio wynagrodzony, bo dowiaduje się o wielu przymiotach, których by zapewne w swem otoczeniu ani się domyślił, np. o zamiłowaniu spokoju, o *czystości* itd. Cnoty słowiańskie nie są przytem stałe, lecz zmieniają się odpowiednio do potrzeby (zapewne wskutek woli Opatrzności). Pomimo, iż „noszą na sobie cechę *wybitnej* zachowawczości," rozkwitły śród nich „zasady krańcowo-liberalne," a wobec wrogów odznaczają się „brakiem instynktu zachowawczego." Pomimo rozmiłowania w życiu rodzinnem, chorują na „rozluźnienie węzłów społecznych" itd.

Posłannictwo słowian zawiera się ni mniej ni więcej tylko w odrodzeniu ludzkości, czyli w doprowadzeniu jej do krain idealizmu. Za narzędzie zaś do spełnienia takiego zadania ma im służyć miłość.

Pomimo wszystkich wiadomych już nam kwalifikacyj, autor uznał swe siły za zbyt słabe dla należytego wyrażenia podobnej prawdy i na pomoc wezwał poetę, Piotra Preradowicza, od którego dowiadujemy się, że Bóg na każde plemię

Zlał przeznaczenie, dał różne przymioty,
By im służyły za rozwój ich cnoty:
Jedne obdarzył umysłu bystrością,
Drugie poważną, wszechstronną mądrością,
. . . .
Miłością słowian zaś obdarzył plemię

i tak im powiedział:

Wam nad ludzkością ja straże oddaję,
Kiedy *uczuję*, że coś jej nie staje—
Gdy *bystry umysł* zapadnie w odmęty,
Gdy mądrość wznieci do swoich zdań wstręty
. . . .
Weź się do pracy i pracuj z ochotą.

Trzeba przyznać, że Opatrzność, zmieniwszy Benjaminka i przeniósłszy swoje sympatye z żydów na słowian, nieprzestała się odznaczać pewną—jak by to powiedzieć—niestanowczością. Zlała swe łaski tak obficie, dała takie posłannictwo, a wciąż swój wzrok odwraca i niepozwala spełnić zadania. Dawniej słowianie, jak dziadowie w znanej pieśni, posiadali wszystko: „znakomite drogi, mosty, pomosty przez bagna, kanały, śluzy, górnictwo, kucie i odlewanie metalów, solarnie, rękodzielnictwo," przemysł, handel, budowle, śliczne rzeźby, poezyę, muzykę, malowidła dziwne, a dziś wcale nieznane itd. itd. słowem—wszystko. Cała kultura niemców dostała się im od słowian (np. związek hanzeatycki) i to „już dziś nie ulega wątpliwości." „Nawet ratusze powstały z przekształcenia kontyn (świątyń) słowiańskich!" Ale cóż, kiedy Opatrzność do dziś zachowała gmachy i drogi strupieszałego Rzymu, poezyę i sztuki rozpustnej Grecyi, pomimo powodzi barbarzyństwa, a wytwory cnotliwej Słowiańszczyzny tak starannie uprzątnęła, że dopiero „głos wewnętrzny" opowiedział o nich autorowi.

Na drodze do spełnienia powołania słowian, Opatrzność, niezbadana w swych drogach, postawiła niemców i żydów—uosobienie wszystkich potwornych wad. Ci dotąd zwyciężali apostołów szczęścia i sprawiedliwości niższością etyki, ale p. P. zapewnia, że panowanie złego już się skończyło, i dobro się wcieli byle tylko słowianie: odrodzili się w duchu na tle tradycyj plemiennych; „usunęli się stanowczo od prądów kosmopolityzmu i knowań politycznych;" strzegli się zgubnego wpływu cywilizacyi i nauki zachodu; wzgardzili „postępem nowoczesnym;" kopnęli nogą „wygłaszane ustawicznie przez naszych postępowców wolnomyślnych i innej barwy zwolenników kosmopolityzmu, którzy nawołują społeczeństwa swe do braterstwa, jedności (odrodzenie świata przez miłość) i nareszcie zlania się z przybyszami;" a w końcu, aby przestali „bawić się w pana." Wszystkiego tego autor dowiedział się od „głosu wewnętrznego."

Wskazówkę dla postępowania jednostki wyraża w następujących słowach: „Módl się, pracuj, w religii szukaj pociechy i natchnienia, kochaj Boga, prawdę, sprawiedliwość i bliźniego swego, a uszczęśliwiając innych staniesz się sam szczęśliwym." Że autor, szukając natchnienia po za granicami nauki, uszczęśliwił siebie, o tem ani wątpię, bo mógł wypowiedzieć rozpierające mu pierś objawienia i ogląda swe nazwisko na pięcioarkuszowej broszurze, ale co do innych, to niech się pozbędzie złudzenia. W pracy jego niema *ani jednego*, literalnie *ani jednego* zdania, któreby posiadało *jakąkolwiek* wartość.

Zbyt szanuję czytelników *Prawdy*, abym miał się wdawać w zbijanie zacytowanych, a tem bardziej zawartych w książce bredni. Nie wspominałbym nawet ani o autorze, ani o pracy, gdyby podobne socyologowanie nie było u nas objawem ogólniejszym. Pan P. nie jest wcale unikatem. Nie mówiąc już o prorokujących słownie, w literaturze naszej posiadamy Duchińskiego, Michałowskiego, Olechnowicza itd. Pomijając brak nauki i poważnego przygotowania, w rozumowaniu tkwi błąd zasadniczy, a podzielany przez ogół niemal cały, przez ludzi nawet skądinąd wyróżniających się. Błędem tym jest nadawanie przesadzonego znaczenia *rasie* (o majaczeniach na temat posłannictwa nie wspomnę, bo chyba dziś już niema potrzeby zbijania tego). Wszystkie narody przechodziły przez fetyszyzm i politeizm, przypisywanie więc jakichś wrodzonych popędów do monoteizmu (p. P. utrzymuje, że słowianie nawet za czasów pogaństwa byli monoteistami) jest naciąganiem faktów do teoryi. Wszystkie rasy zaczynały od przeważnego kierowania się egoizmem, dopóki życie było odosobnione; altruizm mógł się rozwijać dopiero w miarę rozwoju życia społecznego, napięcie więc jego i rola zależy *przeważnie* od stopnia cywilizacyjnego urobienia. Tak samo się rzecz ma z formami własności. Narody pasterskie i wszelkie inne, korzystające z naturalnych płodów ziemi, muszą być komunistyczne, a indywidualna własność zjawia się u *wszystkich* ras w miarę rozwoju uprawy. Religia, dopóki jest narodową, odznacza się tolerancyą, jednakowo w Rzymie, Grecyi, Egipcie, jak i w Polsce, stając się powszechną, może dopiero nabrać chętki do prześladowań. Z tego, że jakiś kronikarz świadczy o nieużywaniu przez słowian żelaza, nie należy się tak znowu cieszyć, bo dziś jeszcze istnieją dzicy, którzy z nim sobie poradzić nie mogą, a duch wojowniczy był *wszędzie* konieczny i zanikał tam silniej, gdzie cywilizacya wyższa. Tak samo się dzieje ze wszystkiemi pojęciami, uczuciami, instytucyami. Rasowe właściwości wpływają *może* na stopień ich rozwoju, ale czysto *zewnętrzne* warunki pchają wszystkie narody (przynajmniej europejskie) po jednej (w ogólnych zarysach) drodze postępu.

Może ktoś zadać sobie pytanie, jak objaśnić psychiczny fakt porwania się p. P. do napisania książki i możność natworzenia podobnych dziwolągów. Odpowiedź na to taka: p. P., ożywiony jest dobremi chęciami, zdaje mu się, że w głowie jego świta wielka prawda, a brak naukowego przygotowania niepozwala mu zdobyć się na żadne sprawdzenie fantazyi. Gdyby znał jakąkolwiek naukę, chemię chociażby, wiedziałby, jakim omamieniom ulega człowiek, do jakich fałszywych wniosków doprowadzają luźne wiadomości, nachwytane tu i owdzie, zrozumiałby, że jedynie długie i mozolne studya pozwalają wyprowadzać ścisłe wnioski. Nie podejrzywam nawet wcale, aby cytowanych autorów nie znał i brał z cudzej ręki, nie, on ich czytać tylko nie umiał, nie rozumiał. Nauka nie rozwinęła w nim miłości prawdy i ścisłości, brał więc tylko to, co potrzebował dla swego założenia.

Z tego wypływa morał nieunikniony, komu nauka nie zapłodniła natchnienia, kto jest sobie tylko *simplex Dei amicus*, niech będzie szewcem, księdzem, kancelistą, telegrafistą, ale niech się nierwie do wygłaszania światu kazań zapomocą drukowanych książek, a słucha co mówią mądrzejsi. Je-

żeli zaś pragnienie miana literata, niesienia światła jest w nim silniejsze, niż wola i rozsądek, to niech się zapisze do bractwa, czy archikonfraterni literackiej, a będzie nosił na każdej procesyi jarzącą się świecę.

Ludwik Straszewicz.

LIBERUM VETO.

Wpływ kierowania balonami na rozwój świata.—Przypuszczenie d-ra Ochorowicza. — Technologia kształcąca Europę. — Dowodzenie z góry za pomocą argumentów wybuchających. — Obecny kierunek prac myśli ludzkiej. — Teraźniejszość p. Szygaryna. — Hymn miłości i melodye Faraonowe. — Najrozumniejszy artykuł. — Spieczone języki. — Urągowisko komisyi alemieckiej. — Rozkoszne sny. — Pisarze zbierający dane. — Westchnienie do niemców.

Prawdopodobnie drżą, i to mocno drżą ze wzruszenia wszyscy, którzy umieją „zastanowić się przez chwilę.“ Bo — jak powiada w *Kuryerze warsz.* dr. Ochorowicz, donoszący o tryumfie pp. Renarda i Krebsa — „dość zastanowić się przez chwilę nad następstwami swobodnej i regularnej żeglugi powietrznej, ażeby przyznać, że ani odkrycie Ameryki (!). ani wynalazek druku (!), ani koleje i telegrafy (!) nie były zdolne sprowadzić tak głębokich zmian w stosunkach ludzkich, jak te, które pociągnie za sobą możność kierowania balonami.“ Jest to nie mała przyjemność i zaszczyt żyć współcześnie z największym wynalazkiem, na jaki ludzkość kiedykolwiek się zdobyła. Kolumb, Gutenberg, Stephenson stoją dziś w pokorze przed pp. Krebsem i Renardem — oni królowie postępów myśli ludzkiej. Bierze mnie chęć złożyć wszystkie książki na jeden stół, podpalić je i dymem napełnić pierwszy wielki balon ze sterem. Jedna tylko myśl mąci mi radość, którą zresztą dzielę szczerze z całym światem, mianowicie: chociaż wierzę, że dr. Ochorowicz w następnych fejletonach dowiedzie nam, dlaczego odkrycie Ameryki i wynalazek druku są drobiazgami wobec kierowania balonami, boję się jednak, czy to twierdzenie rozmiłowanego we wszelkich sztukach technicznych autora nie jest taką samą prawdą, jak zachwyty kochanków. Mówi się lub śpiewa: o moja luba, kwiecie stworzenia, patrząc na ciebie, olśnione słońce mruży swe oko — chociaż to wszystko jest bajką. Dr. Ochorowicz pisywał kiedyś wiersze, kto wie przeto, czy nie zachował skłonności do uniesień, które dla rymów są dobre, ale z logiczną prozą zgodzić się nie mogą. Daleko skromniej ocenili inni sprawozdawcy wielki fakt, zawarty w wiekopomnych słowach: „balon wrócił do punktu wyjścia,“ ale wleli oni dość zapału w czytającą publiczność, która marzyłaby dotąd o „głębokich zmianach w stosunkach ludzkich,“ gdyby co innego nie odciągnęło jej uwagi.

Niezależnie od potrzeby ofiarowania dr. Ochorowiczowi mocno chłodzącego wachlarza, przyznać muszę pomysłowi pp. Krebsa i Renarda wielki wpływ na przyszłe losy Europy, którą w obecnej dobie zaczyna kształcić i przekonywać... technologia. Podczas gdy dotąd nieraz daremnie najmędrsze książki, gazety lub mowy dowodziły ludziom, że 2 a 2 jest cztery, niedługo nad upartymi wzniesie się balon, którego sternik zawoła do nich przez tubę: jeśli nie przyznacie, że 2 a 2 jest cztery, rzucę wam na głowy pocisk wybuchający. Naturalnie po takiej groźbie zabrzmi z ziemi ku górze chóralny okrzyk: cztery! i sprawa zostanie załatwioną. Statek, posuwający się wolno, niemogący dźwigać wielkich ciężarów a przedstawiający najliczniejsze niebezpieczeństwa, którego jedynym przymiotem jest możność wzlatywania wysoko, nie powinien być przecież uważany za dobrodziejstwo pokoju, za postęp w środkach komunikacyi. Balon, wobec kolei żelaznej lub parowców wodnych, będzie miał mniejszą wartość, niż wóz zaprzężony w parę chłopskich szkapek, ale jako narzędzie zniszczenia może stać się strasznym, bo nie dosięgnie go ani policya, ani artylerya. Cóż tu począć, jeżeli on z wysokości kilkuset lub kilkutysięcy metrów spuści parę pudów dynamitu! Bądź co bądź, w wynalazku inżenierów francuskich mamy nowy dowód, nad czem obecnie pracuje myśl ludzka — nad doskonaleniem sposobów walki. Z lądu i morza przeniosła się w powietrze i tam, w chmurach kuje pioruny. Że ona tą drogą oddziała na stosunki świata, zaprzeczyć trudno, ale czy wywołane przez nią zmiany staną obok skutków z wynalezienia druku i odkrycia Ameryki? Po nad Europą przelatuje dziś nie gołąb z różczką oliwną, ale sęp szukający łupu. Nienawiści klas społecznych i narodów wypowiedziały sobie tak zapamiętałą wojnę, że geniusz ludzki zamknął się głównie w laboratoryach chemicznych i warsztatach technicznych, gdzie przygotowywa dynamit, nitroglicyrynę, olbrzymie armaty i balony ze sterami. U wejścia do naszego okresu winien błyszczeć napis: *homo homini lupus est.*

I w taką to porę znany publicysta rosyjski. M. Szygaryn, zaczął wydawać w Warszawie po polsku miesięcznik p. t. *Teraźniejszość*, w którym powiada, że normą stosunków międzynarodowych winno być: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego.“ We wstępie, rozwijającym to przykazanie, autor upuszcza sobie dosyć krwi ewangelicznej — daremnie. Bo: 1) dla przekonania głównie rosyan, pisze po polsku; 2) wierzy, że poprzecinane struny można sklejać słodkawą gumą rzewnych frazesów. Maluczko a przekona się, że jego pieśń miłości nie znajdzie słuchaczów, a wtedy urwie ją i zawiesi swoją lirę na kołku, na którym ją już tyle razy zawieszony wieszał. Ale nie zatykajmy mu ust i bodaj dla ciekawości czytelnika powtórzmy jakiś ustęp z jego hymnu: „Z obu stron postępujemy wciąż niezgodnie z prawdami ewangelicznemi, gdyż głównym motorem wszystkiego i ogólną myślą kierującą bynajmniej nie jest dążność do pełnego miłości wyszukiwania punktów wzajemnej styczności, do starania się usunąć napotykanych na tej drodze przeszkód; przeciwnie — my widząc i stawiając na pierwszym planie tylko ujemne i ciemne strony sprawy, podżegamy siebie i innych przeciw nam, i z całą samowiedzą czyniąc krzywdy wzajemne — tworzymy piekło na ziemi. A jednakże w widokach ogólnego szczęścia, myśmy powinni przecie zrozumieć rzecz tak jasną i oczywistą, że podobny sposób postępowania jest okrutny, nieuczciwy a nawet bezmyślny. Zapatrując się na rzecz trzeźwo, ze stanowiska codziennego, musimy przyznać, że sam obowiązek gościnności zmusza do tego, aby przyzwoity gospodarz traktował grzecznie i przyzwoicie tych, którzy znaleźli się pod jego dachem i moralną protekcyą; z drugiej zaś strony nie wypada też, korzystając z gościnności pewnych praw, ganić u gospodarstwa wszystko, otwarcie kłócić się z nimi, lub, co jeszcze gorzej i nieuczciwiej — w tych wypadkach gdy spór miejsca mieć nie może. czynić wszelką szkodę i złe pokryjomu.“

Jeżeli kościół p. Szygaryna znajdzie po jednym wyznawcy z obu stron, to ja będę trzecim. Tymczasem wątpię o skuteczności wypowiedzianego kazania i przynajmniej w połowie nie przestanę wątpić dopóty, dopóki prasa „gospodarzów“ będzie wygrywała melodye Faraonowe. Czy p. Szygaryn czytał świeżo ogłoszone rozporządzenie gubernatora niżni-nowgorodzkiego? Osnowa następująca: „W jednej z restauracyj jarmarcznych dwie niezadowolone z moich rozkazów osoby ganiły mnie głośno. Urzędnik policyjny, będący świadkiem tego wypadku, zaaresztował obu panów i spisał odpowiedni protokół. Poleciwszy uwolnić ich i zniszczyć protokół, proszę jednocześnie panów urzędników policyjnych, ażeby na przyszłość, jeżeli czyjaś nagana dla mojej osoby i działalności nie będzie połączona z zakłóceniem spokoju publicznego i łamaniem wydanych przeze mnie postanowień, nie zwracali żadnej uwagi na niezadowolonych i nie spisywali żadnych protokołów, które ich tylko odrywają od licznych i bezpośrednich obowiązków służby.“ Jest to najznakomitszy artykuł, jaki od miesiąca czytałem w pismach rosyjskich i więcej zawiera rozumu, niż wszystkie razem wzięte korespondencye p. Strannika. Takich artykułów różnej treści więcej, a „teraźniejszość“ wyglądałaby według życzeń Szygaryna bez pomocy przykazań.

Eh, co tam myśleć o rozumie, o braterstwie ludów, o prawdach ewangelicznych, o wielkich sprawach polityki — w mieście, w którem ludzie usychają z pragnienia. Wątpię bardzo, czy warszawianin mógłby dziś coś więcej wymówić spieczonym językiem, jak tylko: wody! Zeszłego roku dopływała ona przynajmniej na niższe piętra, obecnie nie pokazuje się w całych domach, w całych dzielnicach miasta. Jak gdyby na urągowisko, komisya niemiecka, wyznaczona do określenia przeciętnej ilości wody dla większych zbiorowisk ludzkich, ogłosiła swoje sprawozdanie, w którem powiada, że jedna głowa do mycia się, picia i gotowania potrzebuje dziennie 20—30 litrów, nie licząc prania, płukania miejsc ustępowych, polewania ulic, ogrodów itd. 20—30 litrów — biedny warszawianinie, czy ty w najfantastyczniejszych snach marzysz o takiej rozkoszy, ty, który niedługo będziesz zlizywał rosę z liści w ogrodach i skwerach! O, lepszy Mojżesz, niż Lindley: tamtem uderzył w skałę laską i woda trysła, a ten buduje coś tam na Koszykach, sprasza przedstawicieli dziennikarstwa dla oglądania robót, a woda tymczasem ucieka Wisłą do morza, jak gdyby ono, nałykawszy się słonych śledzi, więcej pić potrzebowało. W takiej niedoli, czy podobna myśleć o kierowaniu balonami, o braterstwie ludów i miłości bliźniego, kiedy człowiek nieumyty i spragniony!

Nie dziwię się też wcale owym cechom warszawskim, które czyniąc zadość odezwie Warszawskiego Towarzystwa dla popierania przemysłu i handlu, żądającej nadsyłania wiadomości o stanie i warunkach pracy rzemieślniczej u nas, wynajmują sobie „pisarzy“ i polecają im układać wykazy. Widziałem podobną robotę w pewnej kancelaryi gminnej, sporządzającej spisy statystyczne:

Pisarz. Macieju, a ile tam w waszej wsi owiec?

Maciej. Musi niewiele, zaraz: Wrzos z pięć, Kępa Wojtek z dziesięć, Kępa Piotr z osiem, reszta po jednej, po dwie.

Pisarz. Będzie sto?

Maciej. Bóg tam wie. Przed trzema laty, wójt kazał, tośmy naliczyli 109.

Pisarz. Niech tam będzie 147.

Tak zbierają „dane...“ pisarze. W każdym innym czasie możnaby oskarżać panów cechowych o niedbalstwo, ale nie teraz, kiedy każdy myśli głównie o tem, czego by się napić i czem by się umyć. Prania bielizny pozwala sobie najwyżej 1,000 wybranych obywateli Warszawy. Czemuż nam nie mogą poradzić niemcy!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Niewyczerpalny temat o szkołach.—Dziwne losy szkoły realnej w Mińsku.—Progimnazyum w Winnicy.—Zabiegi Częstochowy.—Nawrócenie się złodzieja.—Udział w tem księdza.—Wzniosłe posłannictwo i obowiązki.—Fatalne dziś.—Wiedza jedynym zbawcą.

Postanowiłem w niniejszej rubryce stale zapisywać wszystkie zjawiska, jakie tylko dojrzę na widnokręgu, ze sfery szkolnictwa, wszystkie przejawy i wysiłki w celu podniesienia oświaty niższej i średniej. Mam nadzieję, iż mi nikt z tego powodu nie zrobi zarzutu jednostajności lub przesady. Dobrze uprawiony i utrzymany grunt więcej znaczy, niż wypadkowe klęski lub nadspodziewany urodzaj. Za wiele na tem polu zrobić nie można. *Ciągłe* powtarzanie, zachęcanie przykładami jest nietylko pożądane, ale, zdaje mi się, konieczne.

Zacznę od opowieści o dziwnych losach szkoły realnej w Mińsku. Powstała ona za staraniem osób prywatnych ze składkowych funduszów. Przed czterema laty pozwolono na założenie klasy 5-ej, potem przybyły 6-ta i 7-a, a w tym roku nareszcie pierwsze trzy stanowczo zostaną otwarte, a czwarta w takim razie, jeśli zgodzi się 40 kandydatów najmniej. Ostatni ten warunek wydaje się nieco dziwnym; tylu chłopców odchodzi corocznie od wstępnych egzaminów z niczem dlatego, że pedagogika nie pozwala na zwiększanie kompletu, a tu znowu 35 lub 39 odprawionych zostanie z kwitkiem, bo zbyt mała liczba uczniów nie pozwoli... chyba—innego powodu wyszukać nie mogę—na osiąganie pożytku z wykładów. Cóż robić i tak mińszczanie wiele wykołatali. Kierownikiem szkoły jest wytrawny—podobno—pedagog-przyrodnik p. Samójło, a honorowym kuratorem zakładu — p. Aleksander Jelski, obywatel ziemski z powiatu ihumeńskiego.

Municypalność miasteczka Winnicy (gub. podolska) podała niedawno prośbę o zatwierdzenie progimnazyum prywatnego. Miasto daje plac z ogrodem, a na fundusz zakładowy ma być użyte 40.000 rs., zapisane na ten cel przed 9-iu laty przez nieboszczyka Waiuna, kapitalistę.

Częstochowa posiada rządowe progimnazyum klasyczne, przytem miasto kosztem 4000 rs. rocznie utrzymuje 5-tą i 6-ą klasę. Obecnie czynione są energiczne kroki o uzyskanie 7-ej i 8-ej. Już dwie deputacye kołatały u p. gubernatora piotrkowskiego, następnie podano prośbę do p. kuratora, załączając jednorazowo na koszta 4000 rs. i zobowiązując się płacić corocznie 4230 rs.

Ogół pism naszych, stołecznych i prowincyonalnych odznacza się przesadnym sentymentalizmem we wszystkich sprawach publicznych, a szczególniej tam, gdzie bierze w jakikolwiekbądź sposób udział ksiądz. Gdy sam fakt nie nadaje się do nastrojenia na rzewną nutę, wtedy pomysłowość ucieka się do... — jak by to powiedzieć delikatnie—do maleńkich zmian i opuszczeń. Dla tego też nie jestem skłonny dawać bezwarunkową wiarę opisowi *Gazety lubelskiej* o nawróceniu starego złodzieja przez konfesyonał. Nie mam jednak możności sprawdzenia faktu i dlatego muszę go przyjąć, jak został podany.

W powiecie janowskim, w parafii Radzięciu, zgłosił się do proboszcza znany w okolicy złodziej Józef Leśniak, żądające spowiedzi i oświadczając, iż pragnie wydaniem na jaw postępków całego życia okupić przebaczenie. Ksiądz wezwał dwunastu świadków i Leśniak wobec nich przyznał się do licznych złodziejstw i rabunków, a jednocześnie wskazał całą bandę wspólników. Leśniak odesłany został do spowiedzi do sąsiedniej parafii, a wydani towarzysze do kozy, po należytem obiciu przez poszkodowanych.

Z faktu tego widzimy, jak wielki wpływ mógłby mieć konfesyonał, gdyby... chciał. Skrucha Leśniaka była wynikiem jakichś przyczyn nieznanych, poprzedzać ją musiało wahanie się, walka wewnętrzna, wtedy powinien był wystąpić kapłan, gdyby istotnie żył śród parafian i znał ich. Walka ta mogła się skończyć inaczej, niż się skończyła. Nie jestem wcale wielbicielem roli konfesyonału, według pojęć moich musi on zginąć wcześniej czy później; ale ponieważ istnieje dziś, pragnąłbym ze względów utylitarnych, aby wpływ dodatni wywierał. Zajście z Leśniakiem dowodzi, że duchowieństwo nasze pole swej działalności zostawia odłogiem. Bo możność oddziaływania istnieje, a rozejrzawszy się dokoła, dojrzeć wcale nie możemy ani owoców, ani nawet prób. Choćby zresztą nawrócenie zbrodniarza policzyć na karb zasług księdza, to i tak będzie to fakt odosobniony.

Księża pragną sami i faktycznie z wolą, lub bez woli ogółu posiadają monopol kierowania moralnością ludu. Czy wobec tego nie jest słusznem widzieć w każdem podpaleniu cząstkę winy spowiednika, w każdej kradzieży pośredni udział kapłana? Proszę dobrze zrozumieć wyrażoną myśl. Nie wychodzę wcale z punktu niechęci dla katolicyzmu, nie występuję w imię *moich* przekonań, ale staję na tym gruncie, na jakim stara się utrzymać samo duchowieństwo. Jedynie odczucie potrzeby społecznej wywołuje we mnie myśl, że raz nareszcie należy spytać księży: co dokładacie do pracy ogółu, co dajecie narodowi za to, że was karmi i przyodziewa?

Zwracając uwagę na tę okoliczność, spełniam tylko obowiązek, będąc z góry przygotowany na to, że głos mój przebrzmi nietylko bez skutku, lecz w dodatku wywoła może pokazanie jakich prawomyślnych zębów, lub języka. Któż bo u nas mógłby przyglądać się do chóru w podobnem żądaniu? Szlachcic, lekarz, adwokat, urzędnik tnie się w preferansa z proboszczem i wikarym, chłop znosi kolendy i wie tylko, że jegomości w kolano całować należy, dziennikarz strzeże całości podstaw społecznych i dlatego musi wygłaszać ckliwe tyrady nad każdym postępkiem kapłanów, aby nie zachwiać powagi świętej instytucyi. A jednak taki stan rzeczy zmienić potrzeba. Dziś nie ma innego środka. nad szerzenie wiedzy, gdzie można—choćby tylko śród inteligencyi. To dziś jednak trwać może nie będzie aż do zagłady rodu ludzkiego na ziemi. Okoliczności uboczne robią wymieniony środek powolnym i osłabiają jego działalność, tem niemniej jednak pozostaje on jedynym i dla tego ciągłe mówienie o szkołach nie powinno ani nudzić, ani być uważane za przesadę.

Lach.

Kijów. Źle się u nas dzieje. Odessa ma na składach półtora miliona czetwerti pszenicy, nic więc z naszych gubernij ani żąda, ani przyjmuje. Musimy się starać o zbyt do Królewca, co znacznie obniża dochód. Ceny cukru spadły. Zastój we wszystkiem straszny. Większe magazyny na Kreszczatyku po całych dniach *nic* nie sprzedają.

Łódź. Ożywienie się handlu istotną korzyść przyniosło większym przedsiębiorstwom jedynie. Małe, mając ograniczony zbyt i zupełnie nadwyrężony stan kasy, sprzedają towary za byle co, ze stratą, byle wyrwać trochę grosza na dalsze prowadzenie interesów. Spekulanci zarabiają na tem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 11 września.

Nareszcie podobno Chiny zdecydowały się na wypowiedzenie wojny Francyi. Mówię: podobno, gdyż bardzo być może iż jutro lub pojutrze telegraf znowu zaprzeczy wiadomości, podanej przez siebie wczoraj. Według otrzymanych z Fu-Czeu wiadomości, rząd pekiński wydał do narodu proklamacyę, w której obwieszcza o przyjętem postanowieniu orężnej rozprawy z europejską Respubliką. Na skutek przedstawienia państw zachodnich Szanghai uznano za punkt neutralny, natomiast ogłoszono stan oblężenia w Wusung i zabroniono wstępu do rzeki Kanton. Widocznie stanowczość rządu natchnęła niewidzianym dotąd męstwem żołnierzy, bo z zapałem rzucili się do rabowania domów zamieszkałych w Fu-Czeu przez europejczyków, żadnej różnicy narodowości naturalnie przytem nie uznano.

Krok Chin nie zdziwi, ani przerazi Ferry'ego. Przygotowany on jest do spotkania bardzo nawet energicznego oporu. Około 10,000 wojska, wiele statków i innych narzędzi wojennych wyprawia obecnie na wody Spokojnego oceanu, a w portach Algeryi i Metropolii stoją w pogotowiu nowe posiłki, oczekując na pierwszy znak do odjazdu.

Pomimo niezbyt pożądanej wojny dobrze się teraz dzieje francuzom. Wciąż otrzymują pomyślne wieści o powodzeniach oręża, co choć w drobnej cząstce daje im zadosyćuczynienie za niezbyt chlubne popisy 1870 r. Respublika się utrwala, a równocześnie przesilenie ekonomiczne traci siłę, cholera mija, a partyjne zabiegi krańcowo-radykalnych partyj i legitymistyczno-orleanistycznych pretendentów wyprawiają mocno pocieszne widowisko.

Lewa opozycya podała do Grévy'ego prośbę, czy żądanie, czy może manifest, domagający się zwołania Izb. Pobite na głowę podczas kongresu wersalskiego nieprzejednane stronnictwo doktryn radykalnych nie może naturalnie patrzeć spokojnie jak nienawistni uczniowie wielkiego dyktatora rosną w powagę, nabierają wziętości wśród narodu, a taktownem i rozumnem postępowaniem zdobywają coraz to trwalsze stanowisko dla politycznego rozsądku. Trzeba więc wystąpić z alarmem i dobro kraju rzucić na pastwę doktrynie. Powołują się na nadużycia w przeszłości, kiedy każdemu francuzowi wiadomo, iż ta przeszłość korzyść przyniosła.

Nie mniej zabawnem od zabiegów ultralewicy jest spór między czystymi legitymistami, uznającymi za prawowitego pana Francyi niefortunnego don Karlosa, i stronnikami domu orleańskiego. Kłócą się o tron, na który ich nikt nie zaprasza. Dawnymi czasy, to przynajmniej w sporze tem była pewna różnica zasad, obecnie za punkt wyjścia oba odcienia biorą słowa i wolę hr. Chambort.

Spór anglo-niemiecki o kolonie trwanie-przerwanie, chociaż żaden fakt, mający donioślejsze znaczenie podczas ubiegłego tygodnia nie przybył. Rząd królowej Wiktoryi trzyma się wciąż starej taktyki, publicznie głosi, że świat szeroki i zdołają się na nim pomieścić niemcy obok anglików, ale po za tem, jak mogą, starają się wyrzucić niemców z zajętych punktów. Oryginalny pomysł przyszedł do głowy jakiemuś brytańskiemu politykowi, a może tylko humoryście. Rzucił on myśl, pochwyconą przez kupców z Kaplandu, że prawowitości panowania niemieckiego na wybrzeżu afrykańskiem uznać nie można na tej podstawie, iż tamtejsza ludność nie zechce uświęcić tego swą wolą. Ciekawa istotnie byłaby rzecz, gdyby tak urządzić plebiscyty w koloniach europejskich. Ale chyba Anglia najmniej powinna odwoływać się do woli ludów, ulegających jej opiece. Jaka to gmatwanina różnych względów tworzy się natomiast, gdy chociaż w myśli stosujemy podstawy polityczne cywilizowanego świata do dzikich krain!

W Belgii w senacie już debatują nad darem, jaki klerykalna partya złożyła krajowi, przeprowadzając reformę urządzeń szkolnych. Zapewne druga Izba nie odmówi swej sankcyi, ale za to oburzony naród bodaj czy się prędko uspokoi. Znowu ulice Brukselli były świadkami krwawego starcia. Wstecznicy nietylko narzucili wstrętną dla ogółu ustawę, ale pragną urągać większości stolicy udawaniem entuzyazmu i sympatyi narodu. Urządzili więc 8 (dzień Matki Boskiej) manifestacyę, na którą ludność odpowiedziała wybuchem rozdrażnienia i kułakami pragnęła rozpędzić procesyę. Policya konna i straż obywatelska wiele miały roboty, zanim porządek przywrócony został. Raniono około 100 osób, aresztowano 185. Jednocześnie podobne sceny odegrały się w Antwerpii i wielu innych miastach i miasteczkach.

Król Milan puścił się w podróż, zdając rządy państwa na ministeryum. Droga mu wypadła przez Peszt do Wiednia i tylko co na niej nie uległ przykremu wypadkowi, bo pociąg, którym miał jechać, wykoleił się. Już to pozycya tronu serbskiego oddosyć dawnego czasu nie należy do najtrwalszych. Król rumuński wybiera się podobno do Belgradu. Wpływy Austryi na słowian południowych w ostatnich czasach stają się coraz rozleglejsze.

Doszły już do nas wieści o początku rozprawy sądowej (przed przysięgłymi) o rzuceniu bomy pod gmach policyjny w Krakowie d. 22 kwietnia. Ciekawą jest ilość lat oskarżonych: Bolesław Malankiewicz (główny sprawca) jest 17-letnim dzieciakiem, Franciszek Sulczewski liczy 22 rok, Ludwik Grudziński — 23, Jan Pająk jest uczniem VII klasy, a Adam Królikowski ma lat 18!

CUDZE GŁOSY.

Na powitanie sejmu galicyjskiego pisma tamtejsze niebardzo czułe napięły struny. *Gazeta narodowa* dopatruje źródła złego wszelakiego w sejmie, który sam obniża znaczenie swoje i pozwala, aby najważniejsze sprawy kraju załatwiały się w Wiedniu.

„Potrzeba—powiada—raz już rzucić promień światła dziennego na tą zakulisową walkę, zmierzającą systematycznie do podkopania sejmu. Dążność ta sprawia, iż mężowie, którzy niegdyś uroczystym głosem zapewniali w sejmie, że woleliby raczej, aby im ręka uschła, zanim położyliby swój podpis na jakimkolwiek akcie, przeciwnym idei samorządu narodowego, a sejm właśnie jest arką tej idei, dziś zobojętnieli dla sejmu. Dziś oni w sejmie ziewają i sezon kąpielowy ma dla nich większe znaczenie, niż sesya sejmowa. Utworzyło się formalnie zorganizowane stronnictwo, które wszystkie siły wytęża w tym kierunku, aby punkt ciężkości polityki krajowej przenieść z sejmu do Wiednia — do Wiednia, gdzie lada *verwaltunysrath*, sam zależny od Bóg wie jakich wpływów, może wielką odgrywać rolę w tych komerażach, z jakich się składa dyplomacya delegacyjna."

Przypomniawszy adres z r. 1868, stwierdza *Gazeta* dalej,

„czego dziś świadkami jesteśmy wszyscy, że, jak długo sejm stał na stanowisku zasadniczem, tak długo krok za krokiem zdobywaliśmy *wobec przewagi centralistów, wobec rządu otwarcie nam nieprzychylnego*, coraz nowe zabytki w duchu samorządu narodowego. Odkąd zaś sejm od tej polityki odstąpił, odtąd nastąpiła zupełna stagnacya na tem polu. Po pięciu latach rządów wielce nam sprzyjającego ministeryum i wobec faktu, iż z wielu naszych przewódców politycznych zdobyło sobie wysokie stanowiska oficyalne w Wiedniu, zdobycze nasze polityczne w tym okresie równają się zeru."

Starczević i Hohenwart. Przeciwko przewódcy opozycyi chorwackiej wre dzisiaj cała Austrya i całe Węgry: stronnictwo rządowe w Chorwacyi, wszyscy węgrzy bez wyjątku, centraliści przedlitewscy, ba nawet i te pisma słowiańskie (nie brak oczywista i naszych!), co to chylą głowę przed wszelką władzą, bez względu na to, jaką ona jest i skąd pochodzi. „Panslawista — rewolucyonista — demagog!" grają na rozmaite tony trąbki prawomyślne. Tem osobliwiej przeto wpada w ucho głos przewódcy konserwatywnych niemców w Austryi, hr. Hohenwarta, niegdyś prezydenta ministrów, który w wiedeńskim organie swoim, *Politische Fragmente* bierze w obronę Starczevicia i ze stosunków Chorwacyi zgodne z nami wysnuwa wnioski.

„Doniesienia pism wiedeńskich i peszteńskich są jednostronne. Pochodzą one z obozu rządowego i silą się, aby Starczevicia zohydzić przed całym światem. Obaj Starczevicie i ich towarzysze przedstawieni tam są niemal jako ludożercy, a partya rządowa jako wzór postępowania parlamentarnego. Nie pochwalamy postępowania Starczevicia, ale usprawiedliwiamy je, bo co się tam dzieje teraz w Chorwacyi, to w każdym uczciwym człowieku musi krew wzburzyć. Zgnilizna ekonomiczna sławi swoje orgie, panowie z partyi rządowej napełniają kieszenie groszem publicznym, a że tak jest, dowodem, iż wreszcie korona sama musiała się wdać w te sprawki. Jak wobec tego można potępić Starczevicia, gdy się widzi, że partya rządząca wyzyskuje na swoją korzyść podatki, wyssane z ludu, że posłowie ze stronnictwa rządowego każą sobie płacić prowizyę od przedsiębiorstw, przynoszących korzyści komu innemu, a nie krajowi, gdy się widzi wreszcie, jak każdy protest, każda skarga opozycyi obija się niby groch o ścianę, o miedziane czoło rządowców? Zachowanie się Starczevicia niczem innem nie jest, jak tylko wynikiem zwątpienia opozycyi. Ponieważ jest za słabą, aby obalić stronnictwo rządowe, chwyta się środków drastycznych, aby partyę tę uczynić niemożliwą w oczach narodu..."

Mowa hr. Dzieduszyckiego, wypowiedziana na zgromadzeniu wyborców w Stanisławowie, obudziła w kraju wielkie zajęcie, w wiedeńskiej zaś prasie centralistycznej okrzyki zgrozy i oburzenia. Poszło o to głównie, że mówca nawoływał Austryę do podjęcia „tradycyj jagielońskich," w czem *Neue Freie Presse* dopatrzyła się dążności antiaustryackich. Rzecz ma się wręcz przeciwnie, bo przzwódca środka sejmowego, w Austryi wyłącznie upatrując zbawienie, zwolennikiem jej jest najlepszym, radby zaś losy narodu połączyć z jej interesem i pod tym sztandarem rokuje sobie przyszłość najpiękniejszą. Zapatrywań jego co do onych „tradycyj" rozbierać tu nie mogąc, przechodzimy do innego ustępu mowy, dotyczącego postępowania delegacyi galicyjskiej w Wiedniu.

„Wtedy nawet, gdy rząd chce krajowi dopomódz, musi nieraz stanąć tak, jakby odeń koncesye wydzierano. Pamiętać należy, że wcale nie jest zadaniem rządu hr. Taaffego przeprowadzenie żądań lewicy i jeśli stajemy z nim w związku, to dlatego tylko, ponieważ nie ma on szczególniejszego zamiłowania do systemu centralistycznego. Zasadą jego jest jednak robić jak najmniejsze ustępstwa rozmaitym stronnictwom. Powinniśmy przeto i nadal hr. Taaffego popierać, jak długo nie zmieni swojej polityki, *ale powinniśmy umiejętnie korzystać z położenia. Dotąd nie daliśmy dowodów tej umiejętności.* Umieliśmy tylko zdobyć stanowisko w rządzie i poważne stanowisko w parlamencie — dwa najznakomitsze środki, za pomocą których możemy zdobyć zadośćuczynienie potrzebom kraju. Posiadłszy broń, nie umiemy jej przecież używać.

Powiedziano gdzieś, że kraj nic nie ma już do żądania, że wszystko w nim dzieje się dobrze, jak najlepiej, że powinien już tylko dziękować i bronić tego, co posiadł. (*Czas*, a za nim powtarzają stańczycy; *przyp. Red.*) Gdyby te słowa nie były wyszły z pod *polskiego* pióra, wydałyby się gorzką ironią urągającego nieprzyjaciela. Toż wszędzie, choćby w Anglii, polityk, któryby twierdził, że już niczego nie potrzebuje żądać, byłby śmiesznym — *wszędzie nieustający postęp jest koniecznym. U nas tem konieczniejszym po tak długim zastoju.*"

Odprawiwszy stańczyków, przeszedł mówca do sprawy ruskiej, w której zajmuje stanowisko ugodowe:

„Jeżeli mnie nie mylą moje, może najgorętsze życzenia, to niebezpieczna waśń narodowa, do której domieszały się i pierwiastki obrządkowe, dąży ku końcowi. Posłowie ruscy zmienili tryb postępowania. Poprzednicy ich mniemali, że się najlepiej przysłużą swojej sprawie, przeszkadzając wszelkiej akcyi dodatniej sejmu. Teraz zaś członkowie klubu ruskiego biorą żywy udział w pracach sejmowych. Z radością to zaznaczam wielką. Tylko wtedy, gdy jawni obrońcy narodowości ruskiej przywykną do dodatniego działania, dając dowód, że im dobro wspólnego kraju leży na sercu, zatrą się wszelkie nienawistne uprzedzenia i powaśnione, a nie mocne dziś strony, odzyskają tę siłę, jaką miały za dni jagielońskich. Tymczasem, nie spodziewając się cudów, bądźmy cierpliwi. Z jednej i drugiej strony *nie łączmy spraw politycznych ze sprawami religijnemi. Pamiętajmy o tem, że są na Ukrainie rusini od wieków prawosławni, których powinniśmy przeto niemniej za braci naszych uważać.* A przedewszystkiem zwalmy zaporę wewnętrzną, która wyrosła przez to, że nietylko mieszkańcy Małopolski, ale większa część ludzi oświeconych i zamożnych na Rusi nie umie wcale czytać po rusku i ruski ruch piśmienniczy jest dla niej zamkniętą księgą. Nie wiemy przeto, co się dokoła nas dzieje, zasługujemy na słuszne zarzuty i nie przeszkodzimy niejednemu złemu, ponieważ tego złego nie znamy. Nauka pisma słowiańskiego i języka ruskiego powinna się stać obowiązkową jak najrychlej we wszystkich gimnazyach kraju naszego, a to tem bardziej, że małopolanin winien się przecież równie swobodnie obracać na Rusi, jak rusin w Małopolsce, że najważniejsze dokumenty dziejów polskich są spisane po rusku, że prawdziwa umiejętność języka polskiego jest niemożebną bez znajomości języków ruskiego i starosłowiańskiego, że wreszcie trzeba przecież po rusku dobrze umieć, choćby dlatego, aby módz dostrzedz i zganić każdą... nieproszoną przymieszkę."

Dniewnik Warszawski poświęca wstępny artykuł wypowiedzeniu swych poglądów w sprawie nauczania na Litwie.

W *Wileńskiem Wiestniku* opowiedziano niedawno wypadek, dowodzący jawnego przeciwdziałania szkole ludowej ze strony najbliższych władz i pośredników mirowych. Przekonawszy się, że miejscowy „wołostnoj starszina" świadomie szkodzi szkole i między innemi sprzyja tajemnie szkołom polskim, nauczyciel poskarżył się pośrednikowi—i oto jaką otrzymał odpowiedź:

„Zakazać uczyć po polsku? To niemożebne. To nie nasza rzecz. Naszym obowiązkiem jest dążyć do tego, aby rozwinąć prosty, ciemy lud—jakiego zaś języka uczy on się, kogo sobie bierze za nauczyciela, to do nas wcale nie należy. To rzecz ludu samego. Myślę, co i panu jest wiadomem, że nauka francuskiego, niemieckiego, łaciny, angielskiego i wogóle wszelkich języków nie jest u nas wzbronioną, jakież mamy prawo zabraniać nauki polskiego?"

Wypadek ten szczegółowo opowiedziany jest przez gazetę *Ruś*, która wybucha ognistą filipiką przeciw jegomościowi, co się ośmiela osobiste swe pojęcia stawiać na miejsce wyraźnego prawa. . Niestety, jegomościów takich jest wielu na służbie rządu rosyjskiego. Naciągają oni prawa do osobistych swych poglądów, wymijają je, ze „Swodem zakonów" obchodzą się jak z książką podręczną, do której nie źle jest nawet od czasu do czasu zajrzeć, ale która nie ma obowiązującej siły... Czy pamiętacie, jak kanclerz państwa niemieckiego na miejscu osadził niemieckiego posła w Paryżu hr. Arnima, któremu przyszło do głowy prowadzić swą własną politykę? Rząd trzeciej rzeczypospolitej francuskiej masami wyrzucał niepewnych z republikańskiego punktu widzenia

urzędników, nie wyłączając sędziów i niedbając (nie zabotiaś) w danym razie o zasadę niezmienialności (?! niedbając — kilka lat sprawa ta tłukła się po Izbach *Red.*)... Tylko u nas uważa się za możebne, a główna rzecz nie za sromotne brać pensyę od rządu i rzucać mu kamienie pod koła; przysięgać wstępując do służby na to, ażeby tej przysięgi nie wykonać; nie mieć pojęcia o obowiązku, o subordynacyi, o karności. A „biurokracya bez tych przymiotów—mówi *Ruś*—czem jest dla kraju? Hordą tatarskich baskaków.“

„Pamiętajcie—ciągnie dalej *Ruś*—że wszystko złe wypływa ze złych pracowników. Nie wątpcie ani na chwilę, że przy dobroci (dobrokaczestwiennost') i *rodowitości* (prirodnost') gruntu dla sprawy rosyjskiej w Północno-zachodnim kraju; historyczne zamulenie jej przez polonizm, katolicyzm i judaizm nie będzie mogło przeszkodzić nieustannemu wzrastaniu odnowionego naszego na niem posiewu, byleście wy nieustannie i sumiennie krzątali się koło niego. Bądźcie przekonani wszyscy, a szczególnie kierownicy, o tem, że nie wiele doczeka się od was Rosya—a przynajmniej w takiej przyszłości, kiedy i wy moglibyście być uczestnikami tryumfu—jeżeli sami wasi robotnicy na tym gruncie, jak tylko co wymienieni działacze (imię ich u was wciąż jeszcze legion), będą jak dawniej nietylko leniwie spełniać swój obowiązek, ale wprost przechodzić na stronę wroga, siejącego niezgodę.“

Tak, czas już zacząć mniej rozprawiać o urządzeniach, a więcej o osobistych przymiotach „pracowników.“ Czas już także bez kombinacyi (?) i ukrywania (?) wskazywać na ten wysłany kwiatami gościniec, co prowadzi od legalnego (!) liberalizmu... do miejsc „stol otdalonych.“ To wydaje nam się szczególnie na czasie wobec pamiętnego dla czytelników naszych komunikatu *Journal de St. Petersbourg.*

Metropolita kijowski odwiedzał przed kilku miesiącami katolicki kościół w Korostyszewie, był uroczyście przyjmowany tam przez ks. Morawicza i nawet miał przemowę. Według prawa kanonicznego fakt taki jest wykroczeniem ze strony zarządzającego kościołem proboszcza, co zresztą łatwo zrozumieć. Biskup łucko-wołyński, ks. Kozłowski, pozbawił za karę ks. Morawicza zajmowanej godności. Ks. Morawicz słuszność wyroku uznał i publicznie oświadczył, iż karę przyjmuje z pokorą uznającego swą winę grzesznika. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że kijowskie, petersburskie i moskiewskie gazety zrobiły z tego zbrodnię stanu, uporczywie zwołując adminisiracyjne pioruny na głowę żytomierskiego biskupa. *Nowosti* występują w roli konduktora, probując cios skierować w inną stronę. *Warsz. Dniewnik* powtarza ten głos:

„Biskup Kozłowski, wykształcony, ludzki (gumannyj) pasterz, dalekim jest od tej surowości, jaka spotkała ojca Morawicza. A gdyby nawet był on zajadłym polsko-katolickim fanatykiem, to i w tym razie bodaj czy starczyłoby mu odwagi rzucić w oczy kościołowi prawosławnemu(?) i całej Rosyi (???...) wyzwanie, skutkiem którego będzie niewątpliwie zaostrzenie nieprzyjaźni między dwoma wyznaniami. Więcej niż prawdopodobne przypuszczenie, że działał on na podstawie instrukcyj z Rzymu, stwierdza się przez długość czasu (prawie miesiąc), między faktem wizyty metropolity kijowskiego w korostyszewskim kościele (15 czerwca) i karą (11 lipca). Przez ten czas mógł łucko-żytomierski biskup bez pośpiechu znieść się z Rzymem i zażądać instrukcyj. W przededniu zawarcia ostatniej naszej ugody z Kuryą zaszedł wypadek zupełnie podobny do korostyszewskiego, dowodzący jasno, jakiemi uczuciami natchnioną jest względem nas stolica rzymska. Nie tak dawno to było i wszyscy pamiętają wiadomy fakt z oj. Żylińskim (ze swojej strony przypominamy, że figurowała tam między innemi kradzież dywanów kościelnych).

Kapłan ten, zarządzający wileńską i mińską dyecezyą, przed zawarciem naszej ostatniej ugody z Kuryą popełnił „nieostróżność,“ mówiąc publicznie, iż „był on, jest i umrze wiernym poddanym Rosyjskiego Monarchy i synem Rusi świętej“ i zalecał podwładnemu duchowieństwu, ażeby „uważało sobie za szczęście pracować dla dobra i na korzyść rzymsko-katolickiego kościoła i Rosyi, stawiło sobie za cel najwyższy i najgłówniejszy dowiedzenie w czynie nieograniczonej i niezachwianej miłości dla Ojca-Monarchy i matki Rosyi.“ Za nieostrożność tę (większa jeszcze była nieostrożność z dywanami, bo go złapali) był oj. Żyliński usunięty od obowiązków, jak ojc. Morawicz, i musiał pokutować w jednym z rzymskich klasztorów. Gdy czas pokuty upłynął, otrzymał od przełożonego klasztoru, ojca Semoneńki list, w którym dano mu „do obmyślenia“ cały szereg punktów. Między innemi polecono mu „wyrzec się wszelkiego udziału w sprawach publicznych, a w szczególności unikać wszelkiego stosunku z władzami rządowemi, ażeby powtórnie nie wpaść w ich sieci.“

Obrońcy Kuryi mówią, iż ona w sprawie o. Morawicza kierowała się zasadami kościoła katolickiego, które zabraniają wszelkiego stykania się w rzeczach religii (communicatio in sacris) z niekatolikami. Ale argument ten nie wytrzymuje krytyki, gdyż stolica rzymska często wymijała ustawy kanonicznego prawa, gdy to jej było potrzebne. Nie było nic prostszego, jak zapomnieć o prawie kościelnem, które w danym razie tak rażąco sprzeciwiało się duchowi chrześciańskiej religii, miłości, zgody, dając dowód, że *summum jus—summa injuria.* Ale, na nieszczęście, Kurya skorzystała z prawa kościelnego, aby rzucić nasiona nowych nieporozumień tam, gdzie nasze duchowieństwo, w osobie kijowskiego władyki, działało, kierując się jedynie uczuciami miłości chrześciańskiej. Oczywiście porozumienie się nie wchodzi w jej rachuby. Ona usiłuje przekonać, że stykanie się katolickiego duchowieństwa z prawosławnym jest ciężką winą, ulegającą surowej karze. Ona nie chce pracować dla przyszłości, ona spodziewa się zachować swój wpływ w Polsce drogą schlebiania tym dążeniom, które plenią się w przeszłości z wspólnych waśni dwóch pokrewnych narodów. Ona, oczywiście, lęka się, że katolicka hierarchia utraci swą popularność, jeżeli podda się nauce Chrystusa i zamiast waśni siać będzie miłość i zgodę (primirenije).“

„Tem gorzej dla niej“—konkludują *Nowosti.*

Jedyny ten dziś organ petersburskiego liberalizmu w ostatnich czasach odznacza się dość często. W jednym z ostatnich znów numerów z powodu wizyty czechów, artykułu Moltkego, szlachty, ludu, interesów klasowych, grobów królów itp. rzeczy splótł bardzo ładny artykuł wstępny, zawierający dla narodu polskiego naukę, trzymaną w tonie przemowy starszego i dojrzalszego brata; z nauki tej bije... naiwność młodego wschodu.

Ach, panowie, macie możność, prawo, racyę nawet, jeżeli chcecie, łajać nas za naszą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość z wyżyn waszych szerokich poglądów i demokratyzmu, ile tylko razy rzecz chodzi o interes państwa. Ale opuśćcie nas z łaski swojej, pozostawcie naszemu losowi tam, gdzie stoi granica waszej jurysdykcyi. To będzie delikatniej i taktowniej ze względu na na przysłowie o źdźble w oku brata, i belce we własnem, a roztropniej ze względu na waszą... młodość.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Dr. Heryng z Warszawy swoim wykładem zwrócił szczególną uwagę i obrany został prezesem sekcyi laryngoskopijnej kongresu lekarskiego w Kopenhadze.

Nowa ustawa uniwersytecka, zatwierdzona 27 (15), sierpnia ma wejść w życie, według zapewnienia *Now. Wremieni*, 13 (1) bieżącego miesiąca i roku.

Nowym przywilejem ma być obdarowany uniwersytet tutejszy, jak donosi *Dn. Warszawski.* Zwierzchność stara się, aby mieli prawo zostawania studentami wychowańcy prawosławnych seminaryów duchownych bez świadectwa dojrzałości, a jedynie po przejściu egzaminu dodatkowego. Tyczy się to wyłącznie tylko Warszawy i motywowane jest tem, że pozbawienie praw w r. 1879 seminarzystów wpłynęło szkodliwie na ilość wychowańców rosyan, przybywających ze środkowych gubernij Cesarstwa.

IV zjazd archeologiczny rosyjski odbywa się obecnie w Odessie, otworzonym on został 27 sierpnia, a trwać będzie do 13 września. Językiem obrad i przemówień jest rosyjski; gdyby kto jednak języka tego nie znał, może mówić po francusku lub po niemiecku. Prezesem obrano hr. Urusowa, adwokata z Moskwy. Wydziałów jest dziesięć: pomniki pierwotne, pogańskie, klasyczne, bytu społecznego i domowego, prawne, kunsztów i sztuk, języka i pisma, geografii historycznej i etnografii, byzantyńskie i wschodnie. Z polaków jest tam p. Godfryd Ossowski z Krakowa; zabierał on już głos, mówił o pieczarach nad Dniestrem, używał języka rosyjskiego i został pominięty w sprawozdaniach. O wiele większa niegościnność spotkała pp. Raczkiego i Lubicza, uczonych zagrzebskich, na zjazd specyalnie zaproszonych, gdyż zostali oni natychmiast po przybyciu... aresztowani.

Makart i Munkaczy, słynni malarze, popadli w rozstrój nerwowy, graniczący z obłąkaniem. Objawy nienormalności umysłowej w Makarcie dostrzegano oddawna. I może się sprawdza teorya Galtona, że waryat i geniusz sasiadują z sobą?

Umarł Aleksander Jung, znany literat-historyk niemiecki, jeden z przywódców szkoły „Młode Niemcy.“

Dla Magdalenek. Ulitowali się nad niemi aktor krakowski, p. Arwin, „jako wydawca i właściciel“ i hr. Konstanty Rey, „jako redaktor odpowiedzialny“ i od 1 października będą im przysposabiać strawę duchową w prawdziwie codziennym *Dzienniku powieści*, do którego dał już Kraszewski budującą powieść p. t. *Rodzina*, a jakiś francuz okropnego *Mściciela zbrodni.* Prócz tego będą tam codziennie „wszystkie najciekawsze wypadki dnia i sprawozdania z procesów sensacyjnych...“

Kierowanie balonami. Członek Akademii Hervé-Maugon odczytał pracę na posiedzeniu Akademii francuskiej d. 18 z. m. o kierowaniu balonami za pomocą systemu wynalezionego przez oficerów francuskich pp. Renarda i Krebsa. Właściwą nowością przy tym wynalazku jest elektryczny motor, mający siłę $8\frac{1}{2}$ koni parowych. Długość balonu równa się wysokości 8-piątrowego domu, a objętość wynosi 2500 metrów kub. Bliższych szczegółów dotychczas nikt nie zna, gdyż ministeryum wojny zachowuje takowe w tajemnicy.

Skarb państwa wyznaczył etat dla nowo-powstałej inspekcyi fabrycznej w sumie 78,084 rs. rocznie.

Zachodnio-pruskie Towarzystwo historyczne rozpoczęło nader cenne wydawnictwo dokumentów dyecezyi chełmińskiej pod redakcyą ks. dr. Wölky. Dzieła tego p. t. *Urkundenbuch der Bisthums Culm* ukazał się właśnie zeszyt I (35 arkuszy druku), zawierający dokumenty z czasów krzyżackich (1243—1466), drugi obejmie dalszy ciąg tejże epoki, w trzecim i czwartym zeszycie mieścić się będą dokumenty z czasów polskich.

Sprawozdanie za rok szkolny 1883/4 ogólną liczbę uczniów gimnazyum męsk. w Mińsku podaje na 531. Katolików było 209, czyli 39%, prawosławnych 159, czyli 30,6%, izraelitów 142, czyli 26,7%, innych wyznań 18, czyli 4,5%.

Na ogólnem zebraniu dyrekcya Towarzystwa Kr. Z. postanowiła: a) wstrzymać wydawanie władzom skarbowym żądanych o dobrach stowarzyszonych wiadomości; b) upoważnić, w zastępstwie radców dyrekcyi szczegółowych, delegatów taksowych do sprawdzenia i szacowania klęsk z powodzi w dobrach, żądających z tego tytułu ulg w opłacie rat przynależnych.

Wszechświat, jedyne u nas pismo przyrodnicze, z powodu szczupłej liczby prenumeratorów ujrzał się zmuszonym podnieść cenę prenumeracyjną z 6-iu na 8 rs. w Warszawie i 7-iu kop. 20 na prowincyi na 10. Czyż nigdy ani jedno pismo poważniejsze się nie utrzyma!

Ważne reformy zostały już i będą jeszcze dokonane w urządzeniu policyi warszawskiej. Reformy te mają na celu uproszczanie mechanizmu dotychczasowego. Wiadomość tę podaje *Dniew. warsz.*

Uniwersytety w Austryi (Przedlitawii), których jest 8, liczyły w r. 1882 wszystkich studentów razem 10,594 a to: 5179 niemców (i żydów), 1660 polaków, 1643 czechów, 513 rusinów, 478 węgrów (niemal wszyscy we Wiedniu), 342 włochów, 293 serbo-chorwatów, 190 słowieńców, 168 rumunów i 128 innych narodowości

Językiem wykładowym w pięciu uniwersytetach jest niemiecki, w dwóch polski, a w jednym czeski, z czego widzimy, że tylko niemców i polaków potrzeby są zaspokojone. Wedle wymagań sprawiedliwości i stosownie do życzeń ludności winienby jeszcze powstać jeden uniwersytet czeski (w Bernie morawskim), jeden ruslński (we Lwowie), włoski (w Tryeście), serbsko-chorwacki (w Zadarze), słoweński (w Lublanie) i rumuński (w Czerniowcach). Ostatnie cztery mogłyby się na razie składać tylko z wydziałów: prawnego i filozoficznego, zważywszy, że utrzymanie fakultetów lekarskich jest bardzo kosztownem, a ilość uczniów byłaby stosunkowo małą. Niepotrzebnym jest natomiast uniwersytet niemiecki w Czerniowcach. Liczyłaby wtedy Austrya wszechnic 13, czyli w stosunku do ludności stanęłaby na równi z niemcami.

O stanie straży ogniowych w Łomży, Ostrołęce i Makowie przesyła do *Korespondenta płockiego* łomżyński sprawozdawca: W Łomży członków czynnych jest obecnie 196, honorowych — 125; w kasie wpływ pięcioletni wynosił 6,477 rs. 34 kop.; wydatki doszły do 6,416 rs. 38 k., zostało więc 60 rs. k. 96. W Ostrołęce straż ogniowa liczy 138 czł. czynnych i 68 honorowych; wpływ roczny — 2,119 rs. 00 kop.; rozchód — 2,048; w kasie zostało rs. 70 kop. 66. W Makowie: 137 czł. czynnych, 99 honorowych; przychód — 399 rs. 98 kop.; wydatki—391 rs. 91 kop., zostało w kasie 8 rs. 7 kop. Ze sprawozdania tego okazuje się, że powiatowa Ostrołęka, pomimo mniejszej ilości członków, pod względem obrotu pieniężnego przewyższyła swą gubernialną stolicę, chyba, że sprawozdanie pomyliło się.

Wykopaliska pod Haliczem. Zwołana przez Wydział krajowy komisya, złożona z archeologów polskich i ruskich, oceniła na miejscu doniosłość wykopalisk prof. Szaraniewicza i podniosła myśl założenia kosztem kraju muzeum w Haliczu, któreby mieściło wszystkie zabytki historyczne ziemi halickiej. Sejm galicyjski uchwalił dotychczas na roboty archeologiczne i restauracyjne w Haliczu 6500 zlr.

Prasa w Ameryce. W Stanie Illinois, obejmującym 2606 mil kwadr. z trzema milionami ludności, wychodzi czasopism 1009 (tysiąc dziewięć). Wypada zatem jedno pismo na 2874 ludzi.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

D. Nie zostało zatwierdzone.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Августа 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.